Rok III. Lwów, dnia 15 maja 1897. Nr. 10.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Redakcya i Administracya otwarta codziennie od godz. 3—4 po południu.

»*NOWY KURS*« *W ZABORZE ROSYJSKIM.*

Od pewnego czasu w Polsce i po za jej granicami coraz częściej powtarza się zdanie, że w polityce rządu rosyjskiego względem Polaków nastąpił zwrot stanowczy, że dla ziem zaboru rosyjskiego, w szczególności zaś dla Królestwa nastał nowy kurs polityczny, jak się dziś powszechnie mówi. Na wyrobienie tej opinii wpływa głównie kilka wpływowych organów prasy polskiej, które każdy drobny fakt, dający się w danym kierunku zużytkować, rozdymają do rozmiarów zdarzenia epokowego, a w braku faktów pomagają sobie fantazyą, zmyślając rzeczy mniej lub więcej prawdopodobne.

Przegląd wszechpolski nieraz już w tej sprawie głos zabierał, starając się sumiennie notować i sprawiedliwie oświetlać zarówno fakty, świadczące o konsekwentnem trwaniu rządu rosyjskiego przy dotychczasowym systemie polityki, jak i o pewnych zmianach w metodzie jego względem nas postępowania. Wobec tego wszakże, iż dni ostatnie przyniosły nam parę faktów nowych, dosyć wybitnych, że następnie fakty te przedstawiają pewną, dosyć poważną nowość polityczną w porównaniu z tem, cośmy przywykli widzieć ostatniemi laty, konieczną jest rzeczą nad położeniem obecnem należycie się zastanowić, krytycznie istotę jego zbadać i pewne, ogólne wskazania stąd wysnuć.

Czy istotnie w stosunku rządu rosyjskiego do nas stanowczy zwrot nastąpił?

Dla wielu ludzi niema wątpliwości, że tak. Gdy ostatniemi laty podkreślano i mnożono wyjątkowe prawa co do Polaków, gdy krępowano wszelkimi sposobami rozwój myśli narodowej i tłumiono wszelkie, poważniejsze jej przejawy, gdy do działania na gruncie polskim rząd dobierał ludzi bezwzględnych, postępujących brutalnie i skrajnie wrogo do nas usposobionych, obecnie zniesiono kontrybucyę, opłacaną przez Polaków »kraju zabranego« od czasów powstania, rozluźniono nieco pęta cenzury, dano pozwolenie na pomnik Mickiewicza w Warszawie, usunięto nienawistnego Apuchtina, a na dwa najpoważniejsze stanowiska w Królestwie — generał-gubernatora i kuratora okręgu naukowego, przysłano ks. Imeretyńskiego i p. Ligina, ludzi dobrze wychowanych, rozmawiających z przedstawicielami społeczeństwa przyzwoicie, nie pobrzękujących ostrogami. Nadto w prasie rosyjskiej znalazł się odłam, krytykujący politykę dotychczasową i domagający się względniejszego nieco działania na gruncie polskim.

Wszystko to są fakty niewątpliwe i świadczące o pewnej zmianie w postępowaniu rządu rosyjskiego względem nas, w porównaniu, z tem, cośmy widzieli przed paru laty, ale czyż można powiedzieć, iż w nich się wyraża jakiś zasadniczy zwrot polityczny? Czy na zasadzie tych faktów można twierdzić, iż Rosya odstępuje od którego ze swych dążeń, stanowiących istotę jej stosunku do Polaków?

Ludzi, którzyby coś podobnego twierdzili, nie wielu się znajdzie na całym obszarze ziem zaboru rosyjskiego. Cele rządu rosyjskiego w stosunku do nas — to przedewszystkiem utrzymanie ziem polskich przy Rosyi, a następnie zasymilowanie ich polityczne i kulturalne. Żadnego z tych celów Rosya się nie zrzekła, a postępowanie rządu w czasach ostatnich świadczy, że owszem wiele rzeczy postanowiono zdziałać i dziś stale się działa na rzecz przyśpieszenia asymilacyi. Z właściwego stanowiska rzecz biorąc, takie reformy, jak dokonane świeżo zniesienie kontrybucyi w »kraju zabranym« lub zamierzone wprowadzenie instytucyi samorządu ziemskiego na Litwie i Rusi, czy też obecnie zapowiadane przez prasę zniesienie generał-gubernatorstwa wileńskiego, nie są ustępstwami na rzecz Polaków, jeno krokami, posuwającymi naprzód asymilacyę polityczną ziem polskich. Rosya, objąwszy w posiadanie te ziemie, musiała się z początku zgodzić na pozostawienie w nich pewnych instytucyi, odpowiadających wytworzonym przez tradycyę dziejową potrzebom mieszkańców. Dopóki te odrębne instytucye istniały, kraj nie mógł być uważany pod względem politycznym za rosyjski, więc trzeba je było w miarę możności znosić. Ale zniesienie instytucyi odrębnych, odpowiadających odrębnym potrzebom mieszkańców danego kraju, stanowi dopiero połowę dzieła asymilacyi politycznej. Na ich miejsce trzeba wprowadzić instytucye swoje, rosyjskie, ujednostajniające pod względem politycznym ziemie polskie z rdzenną Rosyą. Ta druga połowa zadania nie mogła być wykonana bezpośrednio po pierwszej. Dopóki w kraju żyje świeża pamięć dawnych instytucyi autonomicznych, dopóki żyje zdolność polityczna w tych instytucyach wyrobiona, dopóki społeczeństwo miejscowe przedstawia w sferze politycznej samoistną siłę twórczą, dopóty wprowadzenie jakichkolwiek instytucyi samorządu może obudzić do życia ową siłę, która te same instytucye, zasymiluje i do ducha politycznego miejscowego społeczeństwa nagnie. Dlatego to po skończeniu jednej połowy zadania, po odebraniu naszemu społeczeństwu właściwych jego potrzebom instytucyi, nastąpił długi okres przejściowy, okres praw wyjątkowych, w którym rząd za swoje zadanie uważa zgniecenie sił żywotnych społeczeństwa, pozbawionego swoich instytucyi politycznych, a nie obdarzonego temi, które przysługują reszcie poddanych państwa rosyjskiego, czemu pomagają pewne czasowe prawa i instytucye wyjątkowe, mające na celu przyśpieszenie rozkładu sił politycznych kraju. Jakkolwiek daleko posunięte jest wyzucie z praw mieszkańców uciśnionego kraju i prześladowanie ich przy pomocy praw wyjątkowych, w widokach rządu centralistycznego musi leżeć podciągnięcie ich prędzej czy później pod

strychulec wspólny całemu państwu, a więc obdarzenie ich instytucyami i prawami, przysługującemi reszcie poddanych. Inaczej państwo by się zrzekało całkowitej asymilacyi politycznej. Z wielu względów, politycznych i ekonomicznych, dla rządu pożądaną jest rzeczą, ażeby do tej drugiej połowy zadania jak najprędzej można były przystąpić, wszelkie bowiem panowanie na zasadzie praw wyjątkowych jest rzeczą kosztowną, utrudnia prawidłowe życie społeczno-ekonomiczne i zmniejsza finansową wydajnosć kraju, wreszcie wytwarza w społeczeństwie objawy antypaństwowe, niepożądane i niebezpieczne. Z tego stanowiska patrząc, musimy być pewni, iż dokończenie dzieła asymilacyi politycznej wymaga, ażeby rząd prędzej, czy później przystąpił do wprowadzenia w ziemiach polskich tych instytucyi politycznych, które posiada cała Rosya, znosząc jednocześnie to, co odróżnia »kresy« od środka państwa. Zrozumiałą jest rzeczą, dlaczego najpierwej zaczęto mówić o wprowadzeniu »ziemstw« do t. zw. kraju północno i południowo-zachodniego, w którym żywioł polski, przedstawiając się słabiej liczebnie, mniej posiada politycznego charakteru i dlaczego samorząd miejski, oddawna wprowadzony w »kraju zabranym«, dotychczas nie istnieje w Królestwie, potrzebującem go o wiele więcej ze względu na swój wyższy rozwój ekonomiczny.

Co do asymilacyi kulturalnej, to mamy fakty, świadczące, iż dzisiejszy rząd rosyjski dąży do coraz szerszego wprowadzenia w użycie języka państwowego. W ostatnich niemal dniach nakazano posługiwać się nim w wewnętrznej korespondencyi towarzystwom kredytowym miejskim w Królestwie, wyłączne jego użycie postawiono za warunek przy zatwierdzeniu warszawskiego pogotowia ratunkowego, wreszcie kazano redakcyom polskim prowadzić w nim księgi składek, zbieranych na cele dobroczynne. Ktoś mógłby powiedzieć, że są to drobiazgi. Nie, to rzeczy pierwszorzędnej wagi. Z takich drobiazgów składa się całe życie kulturalne narodu.

O stanowczym tedy zwrocie w polityce rządu rosyjskiego względem Polaków mowy być nie może. Przewodnie zasady tej polityki zostały te same i rząd nie zrzekł się żadnego z celów, które sobie w Polsce postawił.

A jednak niepodobna zaprzeczyć, że pewna zmiana w charakterze rządów czuć się daje. Na czem zmiana ta polega? co stanowi właściwą jej istotę?...

Przedewszystkiem trzeba zauważyć, że, oceniając charakter dzisiejszych rządów rosyjskich w Polsce, porównywamy je ciągle z czasami Aleksandra III, przedstawionemi na naszym gruncie przez Hurkę i Apuchtina. Sięgnąć dalej wstecz nie jesteśmy zdolni, bo pp. Hurko i Apuchtin dostarczyli nam tylu nowych wrażeń, tak opanowali nasze nerwy, iż okres ich rządów wydaje nam się niezmiernie długim, a czasy, poprzedzające go, giną niemal w mgle przeszłości. Tymczasem branie pod uwagę wyłącznie tego ostatniego okresu jest ogromnym błędem, nie pozwala bowiem w sposób właściwy zdać sobie sprawy z tego, co zawiera chwila dzisiejsza.

Panowanie Aleksandra III nie było normalnem ogniwem w państwowem życiu Rosyi. Był to okres skrajnej reakcyi, który nastąpił w chwili, gdy mająca zejść bezpotomnie do grobu rewolucya rosyjska po wielu próbach zgładziła ostatecznie poprzedniego cara. Kto chce panować reakcyjnie, musi dopuścić do władzy żywioły wsteczne, to też panującym w Rosyi żywiołem stało się ciemne duchowieństwo prawosławne i spokrewniony z niem nietylko duchowo, ale i fizycznie olbrzymi odłam biurokracyi. Ta czereda rzuciła się po liberalnych rusyfikatorach na grunt polski, ujawniając całą swą nienawiść do katolicyzmu, do obcej kultury i do wolnej myśli Polityka rosyjska na gruncie polskim została przez ten niepolityczny żywioł tak poprowadzona, jakby głównymi jej celami były opróżnienie jak największej ilości posad dla wiecznie głodnego »czynownictwa« i zabudowanie całej Polski prawosławnemi cerkwiami. Znakomici przedstawiciele tej popiej polityki na naszym gruncie, Hurko i Apuchtin, uosabiali w sobie całą barbarzyńską bezwzględność *„duchownawo sosłowja“* i całą jego polityczną głupotę. Nie mając żadnego wykształcenia politycznego, nie rozumiejąc istoty społeczeństwa i znaczenia różnorodnych czynników w społecznem życiu, działali oni w sposób tyle okrutny, co naiwny, i robiąc wiele na szkodę naszą i na szkodę cywilizacyi, sprawę rosyjską na gruncie polskim pod jednymi względami posuwali bardzo słabo, pod innymi zaś cofali szybko. Metoda działania tych przedstawicieli rządu i cały duch ówczesnego panowania musiały się silnie dać we znaki operowanemu społeczeństwu, zwłaszcza społeczeństwu z takim, jak nasz, charakterem narodowym.

Jeżeli z powyższym okresem porównać dzisiejsze rządy, to na porównaniu tem zyskają one sporo — są one więcej polityczne i mniej mają tych wstrętnych dodatków, które dla celów polityki rosyjskiej wartości nie przedstawiają, ale mogą być jedynie folgą dla dzikich instynktów. Przypominając sobie wszakże czasy nieco dawniejsze, nie mówimy już — Albiedyńskiego, ale jego poprzedników, musimy się zgodzić, że dzisiejszy okres w porównaniu z tymi czasami niczem szczególnem się nie wyróżnia. Jeżeli wziąć całość rządów od czasów powstania, to nie dzisiejszy ich charakter uderzy oko czemś szczególnem, ale charakter rządów hurkowsko-apuchtinowskich, będących okresem orgii żołdacko-popiej, która znalazła poparcie w ogarniającej całe państwo reakcyi. Mówimy ciągle tylko o metodzie działania, która jedynie okazywała pewną zmienność, bo istota systemu pozostawała zawsze tą samą, i polityka asymilacyjna, bez względu na czasowe aberacye w metodach, rozwijana była ciągle z konsekwencyą, z nieustającą na chwilę energią. Konsekwencya rusyfikacyjna nie opuszcza wielkorządców rosyjskich ani na chwilę i pod tym względem rządy ks. Imeretyńskiego są dalszym ciągiem rządów Hurki, jak tamte były dalszym ciągiem poprzednich.

W związku z tą zmianą w metodzie rządzenia pozostaje inna rzecz, mająca o wiele głębsze znaczenie polityczne. Mamy na myśli zapowiedź wprowadzenia w kraju zabranym »ziemstw«, a w Królestwie samorządu miejskiego, który na Litwie i Rusi już istnieje. Jeżeli instytucye te będą wprowadzone w życie, to, jak już powiedzieliśmy, będzie znaczyło, iż rząd uważa dziś za możliwe postawienie nowego kroku na drodze asymilacyi politycznej ziem polskich. Nie można tego traktować, jako coś nowego, wypływającego z większej dla Polaków życzliwości, gdyż najzajadlejsi nasi śród Rosyan wrogowie, przyznawali zawsze, iż celem rosyjskiej polityki u nas jest ujednostajnienie instytucyi naszego kraju z instytucyami reszty państwa. Cała różnica zdań w tym przedmiocie między politykami rozmaitych odcieni w Rosyi sprowadza się wyłącznie do uznania chwili dzisiejszej za odpowiednią lub nieodpowiednią do postawienia tego nowego kroku.

Do tego właściwie sprowadza się cała istota »nowego kursu«. Wszystko, co po za tem się mówi, są właściwie frazesy, obliczone na efekt i świadczące tylko, że dzisiejszy rząd więcej trochę liczy się z opinią polską, niż Hurko lub Ahuchtin. Jeżeli bowiem mówi się o »legalnych rzędach«, o poszanowaniu prawa, wydanego przez monarchę, to nie można traktować tego poważnie, gdy się pamięta o niezliczonych nadużyciach, dziejących się każdego dnia w naszym kraju. Wystarcza wskazać na pogwałcenia przez przedstawicieli rządu ustawy gminnej, nadanej przecie przez cara, jedynej może ustawy, która przy istotnie »legalnych« rządach mogłaby przedstawiać jakąś wartość polityczną Dla otrzymania uchwały gminnej, zgodnej z widokami władzy, naczelnicy powiatów po dawnemu biją chłopów *„w mordu“*, rozpędzają zebrania gminne i całymi tygodniami trzymają »w kozie« sołtysów, gdy ci nie chcą podpisać uchwały, która wcale nie zapadła. Mówić wobec tego o »rządach legalnych« — jest to przecie mydlenie oczu społeczeństwu.

Nie można w ogóle dziś ściśle określić stanowiska nowego panowania względem Polaków, ponieważ ono jeszcze należycie się nie uwydatniło, ponieważ dotych czas raczej mamy mniej lub więcej wyraźne zapowiedzi zmian politycznych, niż same zmiany, sądząc wszakże ze zmian już stwierdzonych lub zapowiedzianych, możemy ten nowy kurs określić w sposób następujący:

w sprawie asymilacyi politycznej ziem polskich — rząd zamierza przystąpić do stopniowego i powolnego wprowadzenia w tych ziemiach instytucyi samorządu, istniejących w całej Rosyi;

w sprawie asymilacyi kulturalnej — rząd postanawia prowadzić dalej, konsekwentnie dzieło rusyfikacyi, otwierając na gruncie polskim coraz szersze pole użyciu języka państwowego (nie przeszkodzi mu to zresztą, gdy uzna za stosowne, poprawić niektórych niedorzeczności działaczy dotychczasowych, zbyt jednostronnie pojmujących sprawę; do takich niedorzeczności należy np. bezcelowe dla Rosyi, faktyczne usunięcie ze szkół Królestwa wykładu języka polskiego, będące osobistem dziełem Apuchtina);

w sprawie metody postępowania — rząd dzisiejszy, przypisując więcej znaczenia nastrojowi, panującemu w społeczeństwie polskiem, postanawia więcej się liczyć z wpływem rozmaitych wystąpień swoich na opinię polską; w tym celu usuwa się z programu rzadowego bezcelowe działania, mające za skutek jedynie podrażnienie podbitego społeczeństwa, znosi się pewne ograniczenia, bez których rusyfikacya może się wybornie naprzód posuwać (np. pewne ograniczenia cenzuralne), wreszcie wysuwa się na naczelne stanowiska ludzi, mających widoki na popularność w lojalnych sferach społeczeństwa polskiego.

Tak, zdaniem naszem, należy obecny »nowy kurs« pojmować.

Teraz zjawia się pytanie: czemu mamy te drobne zmiany w stanowisku rządu zawdzięczać?

Przedewszystkiem, zmianie panowania. Ze śmiercią Aleksandra III zeszedł do grobu władca, będący w faktycznej niewoli u popów i bliskiego im dążnościami odłamu biurokracyi. Syn jego przy wstąpieniu na tron znalazł się w położeniu nieco odmiennem od ojca. Nie czuł on pod nogami tak podminowanego gruntu, jak tamten, nie mógł więc tak silnie czuć potrzeby trwania przy ojcowskiej reakcyi, nie widział w niej jedynego dla siebie ratunku, nie był więc odrazu tak silnie związanym z tą czarną zgrają, która wysysa Rosyę, tłumi wszelką myśl wolniejszą, a przytem buduje ciągle cerkwie i aranżuje cuda boże, jak pod Borkami. Czując się mniej skrępowanym warunkami, Mikołaj II mógł swobodniej dać folgę swym skłonnościom osobistym i zbliżyć się do ludzi, którzy najwięcej jego smakowi odpowiadają, mianowicie do rosyjskiej arystokracyi. W państwach despotycznych takie skłonności osobiste władcy, nie decydując całkiem o kierunku rządów, mają swoją drogą ogromne znaczenie. Arystokracya rosyjska, a właściwie ruchliwsi z pośród niej ludzie starają się zagarnąć wpływ na osobę młodego cara, a wpływ ten uwydatnił się bodaj najsilniej w stosunku rządu do Polaków.

Arystokracya rosyjska ma kilka cnót, rzadko w rosyjskiem społeczeństwie spotykanych. Ludzie, do niej należący, przynajmniej powierzchownie są europejczykami, utrzymują oni najbliższe z Europą stosunki, najwięcej też się liczą z jej opinią. Nie są oni fanatykami prawosławia, a dla popów i popowiczów czują nieskrywaną pogardę. Nie są też bezpośrednio zainteresowani w wyszukiwaniu coraz nowych posad dla rwących się do rubli czynowników. Stąd w polityce umieją zająć stanowisko szersze, łatwiej im w niej mieć na widoku cele czysto-państwowe, wolne od fanatyzmu religijnego lub interesów kastowych. W stosunku do Polaków ludzie ci, jak reszta Rosyan, będą zwolennikami rusyfikacyi, jak najdalej idącej, będą wszakże unikali tego, coby ich bezcelowo mogło przedstawić w świetle barbarzyńskiem lub ośmieszyć.

Widząc najsilniejszą twierdzę czynownictwa w organizacyi władz na gruncie polskim, przedstawiciele dążącej do wpływu arystokracyi w nią przedewszystkiem uderzyli. Zaczęła się akcya, prowadzona przez organ ks. Uchtomskiego, *St. Pietiersburgskija Wiedomosti*, polegająca na krytyce dotychczasowych rządów rosyjskich w Królestwie i poniekąd na Litwie.

Krytyka ta nie jest rzeczą trudną, bo rządy Hurki i Apuchtina, wytworzyły tyle anomalii, doprowadziły do tylu absurdów, widocznie dla państwa szkodliwych, iż tylko ludzie ciaśni bardzo i zaślepieni słabych stron dotychczasowego sposobu rządzenia nie widzą.

Wiele jest argumentów, przemawiających za zmianą metody postępowania władz na gruncie polskim. W mniej lub więcej wyraźny sposób zostały one wytoczone w polemice miedzy organami prasy rosyjskiej. Ekonomiczny dobrobyt i finansowa wydajność kraju opiera się na pewnej prawidłowości stosunków politycznych, bezpieczeństwo państwa wymaga mniej wrogiego dla rządu nastroju ludności, kredyt Rosyi za granicą polega na pewnem zaufaniu do jej stosunków wewnętrznych i t. d., i t. d. Dla tych wszakże żywiołów, które przyszły do szczytu władzy za Aleksandra III i które dziś jeszcze Rosyą faktycznie rządzą, nie mają te argumenty znaczenia. Nie dowierzają tam giętkości umysłu rosyjskiego, w politykę z nami bawić się boją, a wolą opierać się na sile brutalnej, która ich dotychczas nie zawodziła, z drugiej zaś strony — rozumieją dobrze, iż w systemie bezwzględnego prześladowania Polaków leży poważne oparcie dla wszelkich prądów wstecznych w samej Rosyi.

Stronnictwo arystokratyczne — o ile je stronnictwem nazwać można — którego dziełem jest ta wielka zmiana względem nas frontu, jaką ostatnimi czasy zauważamy, nie jest wcale stronnictwem u władzy, jakby ktoś mógł sądzić fałszywie. Rząd jest ciągle w ręku tych samych niemal żywiołów, które kierowały losami Rosyi za Aleksandra III, i trudno sobie obiecywać,

żeby prędko w inne ręce przeszedł. W każdym razie, niema chyba widoków na to, ażeby władza przeszła do rosyjskiej arystokracyi, ta bowiem, popierwsze, nie jest dosyć silną w kraju, który nigdy nie miał warunków do rozwinięcia potężnego stanu możnowładczego i w którym hierarchia społeczna nie zdołała się tak, jak w zachodniej Europie, utrwalić, powtóre zaś — mało posiada ludzi zdolnych, mogących kierownicze stanowiska w państwie zająć. Ostatnia okoliczność nie pozwoli żywiołom arystokratycznym dojść do władzy nawet przy osobistem ich poparciu ze strony cara. Dzisiejsze tych żywiołów znaczenie polega na osobistym ich wpływie na Mikołaja II, co wywołuje w rządzie pewne rozdwojenie, którego mieliśmy przykład w sprawie zniesienia kontrybucyi w »kraju zabranym«. Po jednej stronie stali tu ministrowie Witte i Goremykin, przedstawiający wolę cara, życzącego sobie znieść kontrybucyę, po drugiej reszta komitetu ministrów, zajmująca stanowisko wręcz przeciwne i odwołująca się do opinii gubernatorów. Jak wiadomo, komitet ministrów zgodził się na zniesienie kontrybucyi, zastrzegając się, iż czyni to wbrew swemu przekonaniu, wobec wyraźnej woli carskiej. Należy zauważyć, że i na pomnik Mickiewicza w Warszawie pozwolenie zostało dane osobiście przez Mikołaja II.

Z kolei trzeba zadać sobie pytanie: jakie widoki na przyszłość ten »nowy kurs« przedstawia?

Otóż przedewszystkiem, musimy sobie powiedzieć, że przy najdłuższem trwaniu nie doprowadzi on do tego, ażeby Rosya miała zrzec się czegokolwiek na rzecz naszą, ażeby miała zaprzestać asymilacyi politycznej i rusyfikacyi naszego kraju. Nie pozostawiają co do tego żadnej wątpliwości zarówno oświadczenia urzędowe i półurzędowe, jak wynurzenia naszych rosyjskich obrońców przeciw zwolennikom dotychczasowego systemu. Jeżeli dostaniemy jakie instytucye samorządu, to nie autonomiczne, ale rosyjskie, będące dalszym ciągiem prowadzonego oddawna dzieła *„objedinienija“*; jeżeli pozwolą nam w jakimkolwiek kierunku na szersze rozwinięcie działalności publicznej, to jednocześnie nakażą w tej działalności posługiwać się językiem rosyjskim; jeżeli nieco łagodniej z nami obchodzić się będą, to tylko w celu wywołania objawów rusyfikacyi tylko możliwej — rusyfikacyi dobrowolnej. Z drugiej strony trzeba pamiętać, że nowy ten kurs nie ma trwałych podstaw istnienia.

Gdyby zwolennikiem jego było silne stronnictwo, stojące u władzy i mające widoki na ostanie się przy niej przez długie lata, możnaby liczyć, iż nowa metoda rządzenia wytworzy nowe warunki działalnia i że społeczeństwo polskie znajdzie pewną zasadę do zmiany stanowiska swego wobec rządu, znów w metodach działania tylko, nie zaś w istocie swoich dążeń. Trzeba wszakże pamiętać, iż okrzyczany »nowy kurs« opiera się na bardzo kruchych podstawach, na pewnych osobistych skłonnościach cara i na wpływie nań partyi, która siły wielkiej nie posiada. Wrogie nam skrajnie i zaślepione w tym kierunku żywioły nietylko jutro mogą cały kierunek rządu opanować, ale dziś stoją przy władzy, czują swoją siłę i pewne są, że do nich przyszłość w państwie należy. Mimowoli nasuwa się porównanie z tak niedawnym, a już tak stanowczo pogrzebanym, »nowym kursem« w Prusiech. I tam były osobiste skłonności cesarza, i tam była partya, pragnąca w przyzwoitsze formy ubrać stosunek rządu do Polaków, i tam wreszcie realna siła była po stronie skrajnych szowinistów, którzy w końcu wzięli górę i w zaślepieniu nienawiści poszli dalej od samego Bismarka. Ale tam przynajmniej jest licha konstytucya pruska, która przy całem naciąganiu i nadużywaniu paragrafów stanowi bądź co bądź pewną ochronę prawną obywateli.

»NASZA SPRAWA«.

I.

Broszura polityczna, właściwie spora książka, pod wymienionym w nagłówku tytułem wydana niedawno w Poznaniu, obudziła żywe zajęcie i zyskała rozgłos niezwykły. Pierwsze jej wydanie rozeszło się w ciągu kilku tygodni, a drugie — skonfiskowała policya pruska. Pisma poznańskie streszczały i rozbierały książkę p. Skarzyńskiego szczegółowo, podnosiły wyrażone w niej poglądy lub polemizowały z nimi. Zjawił się nawet »list otwarty«, podpisany nazwiskiem, znanem powszechnie i szanowanem w kołach szlacheckich i klerykalno-arystokratycznych, protestujący przeciw usiłowaniom zbycia autora i jego poglądów lekceważeniem i drwinami. A był ten protest szczególnie znamiennym, bo jednocześnie pracę p. Skarzyńskiego przyjęły z wielkiem uznaniem pisma radykalno-demokratyczne.

Wszystko to świadczy, że broszura p. Skarzyńskiego ma wartość niepoślednią. I autor nie jest również człowiekiem zwykłej miary. Potomek starego rodu szlacheckiego, zamożny ziemianin, siedzi na wsi i z zamiłowaniem oddaje się pracy naukowej, przeważnie w dziedzinie ekonomii politycznej. Przed dwunastu laty wystąpił jako kandydat na posła z samodzielnym programem politycznym, o którym niżej powiemy. Zrażony jednak do działalności parlamentarnej, nie chciał ponownie przyjąć ofiarowanego mu mandatu. W ubiegłym roku został wiceprezesem Towarzystwa przyjaciół nauk, najwyższej, właściwie jedynej instytucyi naukowej w zaborze pruskim. Zaznaczamy te szczegóły, dotyczące osoby autora, bo w zestawieniu z nimi niektóre poglądy, wyrażone w broszurze, nabierają szczególnego znaczenia.

Książka p. Skarzyńskiego przypomina trochę rozprawy polityczne starych naszych statystów. Podobnie pisze czasem p. Szczepanowski. Ten ton i sposób pisania prawdziwie polski (o stylu i języku powiedzieć tego nie można), jest coraz rzadszem zjawiskiem w naszej publicystyce. Odrazu poznać możemy, że autorem książki nie jest polityk praktyczny, że przemawia do nas filozof wiejski, moralista, a raczej moralizator i nauczyciel społeczeństwa, człowiek, który nie badał należycie spraw i stosunków bieżących i nie zna ich dokładnie, ale który natomiast dużo i poważnie o nich rozmyślał. Więc chociażby mylnie znaczenie realne spraw tych i stosunków oceniał, w poglądach jego znajdziemy niejedną myśl głęboką i oryginalną, trafną i pouczającą.

Znamiennym rysem naszych polskich statystów jest wykreślanie w programach politycznych drogi pośredniej. W umysłach pospolitych, w duszach przeciętnych jest to po prostu obawa wszelkiej skrajności, wszelkiej wybitnej samodzielności. Ale nie można tego powiedzieć o autorze »Naszej sprawy«. W nim, jak w wielu innych, jest to właściwa umysłowości naszej skłonność do syntezy, która splata się w jedną całość, w jedno dążenie z nabytą i długoletnią tradycyą polityczną wykształconą, skłonnością do kompromisu, w tem

wyższem, socyologicznem znaczeniu, jakie mu przyznaje znany pisarz angielski Morley. Zresztą przytoczenie kilku ustępów z książki p. Skarzyńskiego najlepiej to czytelnikowi wyjaśni.

»Próbowaliśmy zrazu strategii i taktyki zaczepnej, wstępnym bojem, w powstaniach, to o własnych, to z pomocą najczęściej przypuszczalną a zwodniczą sił obcych; później wycieczek i ataków na oślep, to w prawo, to w lewo, oratorskich i deklamatorskich, wreszcie wywieszania białych chorągwi, kapitulacyi, rzeczywistych czy udanych, całkowitych czy częściowych w rozmaitych próbach ugodowych. Nie próbowaliśmy dotąd w zaborze pruskim i rosyjskim jedynego szyku bojowego, który w warunkach danych nam przystoi, w którym bezpiecznie kroczyć możemy naprzód, którym krocząc, nigdy się nie poddamy, póki rozbić się nie damy, a to: szyku czworoboku ruchomego, taboru starosłowiańskiego, z ołtarzami, ogniskami, żonami, dziećmi i dobytkiem naszym pośrodku, a z bronią naszej pracy, naszej inteligencyi, naszej wiary w potęgę idei i w wyższość naturalną »naszej sprawy« na zewnątrz«.

Tłómacząc to porównanie na język polityczny, p. Skarzyński mówi: »nie próbowaliśmy nigdy w zaborze rosyjskim i pruskim stania murem na gruncie legalnym przy równoczesnem wyzyskiwaniu tego terenu w celu utrzymania naszego bytu narodowego; nie umiemy dotąd stać wszyscy w zwartym szeregu, z podniosłem czołem, gotowi w każdym zaborze pracować na polu czy naukowem, czy ekonomicznem i społecznem, a nawet i politycznem, byle nas do pracy tej, jako Polaków, dopuścić chciano«.

Owszem, próbowaliśmy, przynajmniej w zaborze rosyjskim, w ciągu 20 lat po r. 1863 tej polityki, zgodnie, zwartym szeregiem i bez »bizantyńskich pokłonów«, gotowi garnąć się do każdej pracy, do którejby nas, »jako Polaków« dopuścić chciano. Taki program miał i ma w społeczeństwie naszem bardzo wielu zwolenników, główne jego zasady i postulaty w całości lub częściowo odnaleźć można we wszystkich niemal głośniejszych utworach naszego piśmiennictwa politycznego, wydanych w ciągu kilkunastu lat po powstaniu. W podobny sposób, jak w broszurze p. Skarzyńskiego był sformułowany w rozpowszechnionej swego czasu książce p. t. *Aspiracye porozbiorowe*, najświeższym jego wyrazem jest wydana bardzo niedawno we Lwowie *Polityka obowiązku.*

Główna zasada tego programu politycznego nie jest bynajmniej dla społeczeństwa naszego nową. »Stanie murem na gruncie legalnym przy równoczesnem wyzyskiwaniu tego gruntu w celu utrzymania naszego bytu narodowego« powtarza się we wszystkich nierewolucyjnych programach politycznych po r. 1863, stanowi ich istotę, ich hasło naczelne. Znajdziemy tę zasadę w programie warszawskim »pracy organicznej« w różnych jego odmianach, w programach stańczyków i umiarkowanej demokracyi galicyjskiej, wreszcie w programie stronnictwa ruchu ludowego w zaborze pruskim, nawet z pewnymi dodatkami w programach dawnych i najnowszych ugodowców. Tyle już o politycznej wartości tej zasady rozprawiano i pisano, że byłaby niepotrzebnem powtarzaniem nowa jej ocena. Zresztą w każdym programie mierzy się ta wartość polityczna trafnością jego wskazań praktycznych. I te wskazania praktyczne, które w broszurze swej daje społeczeństwu p. Skarzyński i które, jak to później zobaczymy, jakichś nieznanych prawd nie zawierają, są dla »naszej sprawy« w zaborze rosyjskim i austryackim, bardzo ogólnikowe, program zaś tyczny dla zaboru pruskiego sformułował już autor w r. 1884 w »liście otwartym«.

Natomiast myśl przewodnia książki p Skarzyńskiego zasługuje na szczere i zupełne uznanie tych nawet ludzi, którzy różnią się z nim zasadniczo w poglądach politycznych, ale »duszę polską zachowali zdrową«. Autor zaznacza słusznie, że »nie potrafimy jasno i otwarcie, bez ogródki wszelkim zakusom wynarodowienia nas przeciwstawić naszej sprawy z tem przeświadczeniem, że ona etycznie, przed Bogiem i ludźmi, nieskończenie wyżej stoi od racyi stanu, od nienawiści rasowej, od kultu brutalnej siły, od narodowego egoizmu, które nas zniweczyć i wytępić usiłują za jakąbądź cenę i w jaki bądź sposób«. Chciałby więc przyczynić się do »lepszego zrozumienia naszej sprawy«, bo z lepszego jej zrozumienia »wyłonić się musi godniejsza postawa i rozumniejsza obrona«, chciałby »wlać wiarę, miłość i nadzieję w naszą sprawę i to wyrozumowaną, wolną od wszelkich ułud i zwątpienia, na naukowej podstawie opartą«.

Pomimo naszych błędów, a raczej błędu, że »prawie nigdy nie potrafiliśmy utrzymać się na linii pośredniej *du juste milieu* i wpadaliśmy w ostateczność powstań i opozycyi — sprawa nasza nie upadła, żyje w nas i po za nami. Bez państwa, bez rządu narodowego, bez armii i finansów sprawa bytu narodu polskiego stoi dzisiaj tak, jak stała lat temu sto. Naród stoi — choć politycznie rozdarty — etnograficznie i etycznie jeden, cały, niezmniejszony, owszem, liczebnie powiększony«.

Ponieważ, zdaniem p. Skarzyńskiego, »robiliśmy sami nieraz wszystko, co było robić można, by się materyalnie i moralnie zgubić«, a pomimo to nie zaprzepaściliśmy naszej sprawy, więc »kryje się w niej jakaś tajemna siła, która pomimo nas chroni ją od zatraty«. Sądzę, że zamiast poszukiwania tajemnej siły, bardziej z logiką zgodnem i mocniej na podstawie naukowej opartem byłoby przyznanie, że widocznie dotychczasowa obrona naszej sprawy nie była jednak tak błędną i lichą, jak się z pozoru zdawać może, jeżeli sprawa nasza stoi dzisiaj tak, jak stała lat temu sto, a nawet stoi lepiej, bo naród nasz jest obecnie etnograficznie jeden, cały, niezmniejszony, owszem, liczebnie powiększony. Niewątpliwie, nauczeni doświadczeniem, wiemy, że ta obrona w danych warunkach mogła być nieraz skuteczniejszą, niż była, ale to nie dowodzi, że była wogóle złą i że tylko »stanie murem na gruncie legalnym«, jest najlepszem, jedynem dla niej na przyszłość wskazaniem.

Zgodzić się wszakże trzeba z p. Skarzyńskim, że siłą, która stanowi wartość i potęgę naszej sprawy, jest idea polska i że ta idea »żadnej innej nie ustępuje ani w potędze, ani w wartości dla całej ludzkości, że nietylko dla nas jest prawdziwą energią życiową, lecz może być zarazem źródłem znacznego etycznego dorobku dla całego rodzaju ludzkiego«.

Wychodząc ze słusznego założenia, że moralne *imponderabilia* — ideje, są realnymi czynnikami i potęgami w życiu jednostek i społeczeństw, autor wysoko podnosi ideał polityczny polski i dobrze potrzebę tego podniesienia uzasadnia. Czy ten ideał ma jaką wartość dla narodu po upadku państwa i czy ma bodaj w przyszłości wartość dla całej społeczności ludzkiej — »oto zagadnienia, na które dać sobie trzeba odpowiedź, jeżeli się chce naszą sprawę należycie zrozumieć, myślą, wyobraźnią i sercem pokochać, a wtedy dla niej żyć i z nią umierać«.

Autor przyznaje, że w młodym wieku nie zajmował się temi pytaniami, jak nie zajmuje się niemi ogromna większość ludzi wykształconych w naszem społeczeństwie. Ta większość bez rzeczywistej samowiedzy tylko czuje się narodem polskim. Samo jednak »czucie się głową jedną wśród stada, które dzisiaj jest polskiem, a jutro może być (?) niemieckiem lub rosyjskiem — nie wystarcza«, zwłaszcza wobec innych narodowości, »które są czemś więcej, niż stadem, które wytworzyły jedności i organizmy wyższego rzędu siłą swego ducha i swoich idei«.

»Zamęt i rozstrój w pojęciach, uczuciach i dążeniach naszego społeczeństwa po r. 1863 doprowadził już wielu ludzi do stanu zupełnej apatyi i indyferentyzmu, jeżeli nie do zupełnego kosmopolityzmu. Położenie polityczne kraju, brak szkół narodowych i obracanie się naszej historyozofii w zaklętem kole między samouwielbieniem i bezwzględną, miażdżącą krytyką, przeważnie na poglądach obcych autorów opartą« — tłómaczą dostatecznie brak w szerszych kołach głębszego zrozumienia idei społeczno-politycznej polskiej.

»Wyznać muszę — powiada p. Skarzyński — że gdybym nie był potrafił odnaleźć w historyi naszej jakiejś specyalnej idei polskiej, która dodatnim jest czynnikiem w zasobie moralnym, w mieniu politycznem całej ludzkości, byłbym zwątpił o naszej sprawie«. Niestety, takich wątpiących, i właśnie z zaznaczonych wyżej powodów, sporo znaleźć można wśród naszej inteligencyi, nawet wśród ludzi, którzy sprawy narodowej bronią, ale *honoris causa*, bez wiary i nadziei.

»Myśl, że narodziłem się członkiem narodu, który mało, albo nic nie wart, któryby mógł istnieć, albo nie istnieć bez ujmy i szkody ani dla siebie, ani dla ludzkości, który zmarniał, bo zasłużył i zasługuje na to, żeby zmarnieć i zniknąć z powierzchni ziemi, myśl ta nasuwała się i zatruwała nieraz pojedyńcze chwile mego życia«. A jeżeli takie zwątpienia opadają ludzi wysoko wykształconych i inteligentnych, to tymbardziej zastanowić się należy nad tem: czem ma żyć, w co wierzyć, co kochać, z jakim celem ma pracować młodzież nasza i te zastępy ludzi, którzy przy pługu, przy warsztacie, w kantorze, albo w sztuce i nauce dzierżą zasoby i dorabiają mienia moralnego i materyalnego — owych jedynych, realnych podstaw bytu narodowego«. Historycy obcy, pruscy i rosyjscy, wydali wyrok, że Polska była anomalią w Europie, nie posiadała niezbędnych warunków samodzielnego bytu politycznego, więc upaść musiała i ościenne państwa w interesie hygieny politycznej powinny były dobić tego trupa. Nasi uczeni i publicyści dowodzili i dowodzą, że Polska wobec monarchii absolutnych ostać się nie mogła, że parlamentaryzm polski był próbą przedwczesną i stąd chybioną, która osłabiła państwo i w logicznym wyniku doprowadziła do utraty samodzielności politycznej.

»A konkluzya, nauka moralna na przyszłość? — pyta p. Skarżyński — zwykle żadna, często wprost fałszywa«.

Znajdują się jednak w dziełach niektórych historyków i pisarzy polskich »elementy do racyonalniejszego, naukowego uchwycenia i zrozumienia polskiej idei społeczno politycznej«. Wyszukał ich p. Skarżyński w dziełach Korzona, Pawińskiego, Bobrzyńskiego, Szujskiego, Rembowskiego, nawet w rozprawach Spasowicza i Leliwy. Polacy do upadku państwa przechowali federacyjno stanową formę uspołecznienia. »Centralizacya władzy była dla nas najwstrętniejszym systematem politycznym, groźnem widmem despotyzmu, wrogiem wolności i w zasadach prawno-państwowych, i w obyczaju, i w najgłębszych instynktach ducha narodowego. W swoim czasie były to mądre i dobroczynne formy uspołecznienia, im zawdzięcza Polska swoją potęgę w wieku XV i XVI, swój rozrost przez dobrowolną asymilacyę części składowych«. Wypisami z aktu unii horodelskiej, z dawnych pisarzy, Ostroroga, Modrzewskiego dowodzi, że wysoko rozwinięty indywidualizm społeczny i federalizm, rzeczywisty parlamentaryzm, »oparty na interesach klas i zawodów« już 300 nawet 400 lat temu były przedmiotem wyraźnych i świadomych dążeń, były ideałami politycznymi narodu polskiego. Już w XVI wieku Polska naprzeciw siły państwa stanowczo szalę na stronę siły społeczeństwa przechyliła.

W tem krótkiem streszczeniu niepodobna dokładnie oddać charakterystyki ideału politycznego polskiego w książce p. Skarzyńskiego. Zaznaczę więc tylko, że autor niewątpliwie uchwycił dobrze jego rysy, nie wykazał wszakże, dlaczego parlamentaryzm oparty na interesach klas i zawodów, ma być wynikiem polityczno-społecznej idei polskiej. Parlamentaryzm polski, jak sam p. Skarzyński trafnie go określił, opierał się na ujętej w formę średniowieczną, bo w inną wówczas ujętą być nie mogła — zasadzie wszechwładztwa ludu. Nie udowodnił również, że ten ideał polski, »to ideał *par excellence* słowiański i zjednoczona Słowiańszczyzna kiedyś go urzeczywistni«. W dziejach ludów słowiańskich ani takich dążeń, ani takich form uspołecznienia, jakie wytworzyła Polska, nie spotykamy zgoła, a zjednoczenie Słowiańszczyzny jest poprostu mrzonką polityczną. Ale o tem później pomówimy.

»W łonie przyszłości leży rehabilitacya ideału narodowego polskiego, bo w średniowiecznych formach tkwiły w nim pierwiastki etyczne i społeczno-polityczne, które przez absolutne, monarchiczne i centralistyczne formacye u innych narodów sięgają wprost do konstytucaonalizmu, samorządu i parlamentaryzmu nowoczesnego, a nawet służyć mogą za cenne wskazówki dla formacyi społeczno-politycznych przyszłości«.

Polska, osłabiona walką, toczącą się w jej łonie pomiędzy szlachtą i kozactwzm ruskiem, które przedstawiały dwa przeciwne kierunki życia politycznego, dwa przeciwległe typy ustroju państwowego — nie mogła ostać się wobec państw silnie scentralizowanych, biurokratycznych, w celach podboju zorganizowanych. Patrząc na to, »dokąd ich zaprowadził serwilizm, a do czego nas nasza miłość wolności przywiodła«, historycy polityczni nowej szkoły potępiają bezwzględnie przeszłość polską i pośpiesznie a błędnie wnioskują, że nasz naród ocalić się może od zagłady wtedy jedynie, jeżeli zdobędzie te właściwości, przystosuje się do tych form uspołecznienia, przyjmie te ideały polityczne, które przeciwnikom jego tryumf zapewniły.

Dobry pedagog nie łamie nigdy natury dziecka, jego przyrodzonych ułomności i usposobień, ale stara się je w odpowiedni sposób wyzyskać dla celów wychowania. Nie można dowolnie zmieniać charakteru jednostki, a tymbardziej charakteru społeczeństwa, mającego oprócz właściwości dziedzicznych, tradycyę wiekową pojęć i uczuć skrystalizowanych w pewne formy stałe. Ale zarówno bezwzględny system wychowania jak i szkoła polityczna mogą skrzywić i wypaczyć charakter indywidualny i narodowy.

Zresztą czego ostatecznie dowodzi upadek Polski w walce z absolutyzmem moskiewskim i pruskim? Oto tej prostej prawdy — zdaniem p. Skarzyńskiego — »że tylko krwią i żelazem zbudowane twory społeczno-po-

lityczne miały *dotąd* warunki bytu i trwałości«. Można te »twory polityczne« idealizować i brać za wzór do naśladowania tylko wtedy, jeżeli przypuszczamy, »że ludzkość zawsze stać będzie na tak nizkim szczeblu pod względem etyki społeczno-politycznej i międzynarodowej, jak stoi dzisiaj«.

Jeżeli się jednak pojmuje »zgodnie z filozofią historyi ściśle naukową dzieje ludzności — jako stopniową postępową ewolucyę i emancypacyę ludów od elementarnego, żywiołowego *struggle of life* — do ideału, nigdy całkiem niedoścignionego — wspólnej kooperacyi narodów na zasadzie miłości i braterstwa ku wzajemnemu dźwiganiu się z barbarzyństwa do cywilizacyi — to łatwo wprawdzie zrozumieć, że naród, który tylko umiał przyciągać do siebie, a nie umiał podbijać, któremu droższą była wolność jednostki, niż potęga państwa«, musiał upaść w epoce zwycięstwa centralizacyi i despotyzmu, ale może ten naród z dumą patrzeć na swoją przeszłość i z otuchą w przyszłość.

Gdyby federalizm i parlamentaryzm polski, które były tworami poronionymi, bo przedwczesnymi, mogły się były oprzeć na całym narodzie, na wszystkich stanach bez różnicy wyznań, »stworzyłaby Polska na wschodzie Europy lat temu trzysta większą potęgę moralną i polityczną, niźli to uczyniła Francya rewolucyjna«. »My sami zresztą od 100 lat z górą żyjący i rozwijający się jako naród, jako społeczeństwo bez własnego państwa, w ramach państw, ktore nas chciały i chcą wytępić — my swojem istnieniem o ile dowodzimy, że państwo nie jest wszystkiem, że jednostka zbiorowa, którą jest naród, nowoczesnemu molochowi państwowemu pożreć się nie daje, o tyle jesteśmy reprezentantami silnego i zdrowego indywidualizmu i stąd zwiastunami i pionierami przyszłości«.

Żaden naród w tych warunkach, w jakich istniejemy, nie potrafiłby dotrzymać kroku innym w ogólnym cywilizacyjnym pochodzie. »Potrafi to, byle chciał, naród polski, a potrafi dlatego, że te ideały społeczno-polityczne, które w państwach zaborczych dopiero po rewolucyi francuskiej powoli i mozolnie w serca i mózgi ograniczonych umysłów poddańczych (*des beschränkten Unterthanen Verstandes*) wtłoczone być musiały, w duszy polskiej, są starymi, dobrymi znajomymi, założonem jest w niej więcej jeszcze po za te dzisiejsze formy konstytucyjne«.

Zadanie pogodzenia wymagań siły i bezpieczeństwa państwowego z wymaganiami swobody nie zostało dotychczas i nie prędko będzie rozwiązanem. Jesteśmy jeszcze w drugim okresie wszechwładzy państwa, ale, jak powiada Spasowicz, następuje już zwrot ku uzbrojonemu i nieszkodliwemu indywidualizmowi, restytucya praw mu przynależnych, jeżeli nie w praktyce dotychczas, to w umysłach wybitnych polityków i myślicieli. W tym zwrocie właśnie widzi p. Skarzyński apologię idei społeczno-politycznej polskiej i ideałów przyszłości wszystkich narodów, których ta idea jest integralną częścią.

Streściliśmy poglądy autora, przeważnie własnemi jego słowami, tu i owdzie tylko dodając swoje uwagi i komentarze, lub zaznaczając różnice przekonań. Na wiele z tych poglądów zgodzić się możemy w szczegółach, ale zgadzamy się całkowicie na tę myśl jego, że dokładne zrozumienie istoty »naszej sprawy« i należyta ocena jej wartości mają dla społeczeństwa naszego i jego działalności politycznej pierwszorzędne znaczenie. I to nietylko dlatego, że »dla byle jakiej sprawy, dla byle jakiej idei, ani jednostki, ani masy poświęcać się nie zechcą i nie potrafią«, ale dlatego również, że ujęcie istoty tej sprawy nadaje naszym dążeniom, naszym programom politycznym, pomimo ich nieuniknionej rozmaitości, pewną i trwałą podstawę.

Nasza mysl polityczna nie ma dziś właściwie żadnej podstawy etycznej i socyologicznej. Dawne programy potrzebują koniecznie nowego uzasadnienia wobec zmian radykalnych w pojęciach społeczeństwa, nowo powstające zaś tymbardziej, bo wogóle żadnego nie mają. Praca p. Skarżyńskiego próbuje dać takie uzasadnienie polityce narodowej, »naszej sprawie« i wysoko podnosi jej pierwiastek ideowy, jej treść wewnętrzną. To usiłowanie stanowi główną wartość książki, o której mówimy, pobudza bowiem do myślenia i zastanowienia nad tem zagadnieniem doniosłem tych nawet, co się zupełnie z autorem nie zgadzają ani w pojmowaniu naszej przyszłości, ani w określeniu »naszej sprawy«, ani w wyprowadzeniu z tego określenia wskazań praktycznych.

O tych wskazaniach powiemy w następnym artykule. Są one ściśle polityczną częścią broszury, chociaż jej wartość polityczną stanowi właściwie określenie i ocena istoty »naszej sprawy«. *Victor.*

Z CAŁEJ POLSKI.

Zapowiedzi walki. Kto jest inicyatorem polityki antypolskiej. Nieobliczalny czynnik tej polityki. *Gazeta robotnicza* o Badenim i Galicyi. Przesadzone obawy. Szkolnictwo galicyjskie i nauczyciele ludowi. Niezadowoleni z obiecanego samorządu. Sprzeczności ugodowe.

Stosunek Polaków do Niemców, zwłaszcza do rządu pruskiego zaostrza się coraz bardziej. Nikt dziś chyba, nie wyłączając dawnych marzycieli ugodowych, nie wątpi, że w polityce pruskiej zaczął się »nowy kurs« ucisku narodowego i potrwa dłużej, niż kapryśny uśmiech »łaski pańskiej«, z której zresztą nie mieliśmy żadnego pożytku realnego.

Nie wpadając w pesymizm, należy jednak uświadomić sobie i innym, że to wszystko, co dziś na społeczeństwo nasze spada, jest dopiero początkiem, właściwie zapowiedzią nowych prześladowań.

Projekty rządowe, oświadczenia ministrów w sejmie, zarządzenia administracyjne, wyroki sądów i t. d. zgodnie świadczą o zamiarze prowadzenia walki w »ostrym tonie« z właściwą polityce pruskiej systematycznością i nie pozwalają łudzić się przypuszczeniem, że są to tylko objawy przypadkowe, zależne od zmiennych prądów w wyższych sferach.

Zmiana ustawy o stowarzyszeniach, chociaż niewątpliwie nie posunie się tak daleko w ograniczeniu praw obywatelskich, jakby rząd chciał, w każdym razie wzamian za pozwolenie łączenia towarzystw politycznych, da władzy państwowej większą swododę postępowania w tych sprawach, z której skorzysta ona w celu skrępowania działalności publicznej ludu polskiego. Wyjawił kiedyś otwarcie ten zamiar minister Recke, a dziś dzienniki półurzędowe i konserwatywne to samo znowu zapowiadają. Brutalna odpowiedź ministra Schönstedta (katolika) na interpelacyę w sprawie zmuszania świadków i oskarżonych Polaków do składania zeznań po niemiecku chociaż należycie języka tego nie znają, dowodzi, że i ta dziedzina stosunków ulega dziś prądom politycznym. Sądy niemieckie, znane niegdyś z przysłowiowej bezstronności, w ostatnich czasach niejednokrotnie wyrokami swymi

stwierdziły, że prawo i sprawiedliwość stosować się w nich muszą do wymagań polityki rządowej. Niektóre wyroki — przytaczaliśmy je kilkakrotnie — są wyraźnem pogwałceniem ustaw i poczucia sprawiedliwości. Nawet w archiwach sądownictwa rosyjskiego zreformowanego nie wiele znaleść można analogicznych przykładów i nigdy bodaj bezprawie nie jest w nich tak jawnie bezczelnem.

Wyrok w sprawie burmistrza Rolla, który w streszczeniu w innej rubryce przytaczamy, z dwóch względów zasługuje na uwagę. Najwyższy trybunał adm nistracyjny, który mógł w podobny sposób wyrok uzasadnić, nie odmówi z pewnością rządowi potrzebnego mu orzeczenia w sprawie rozwiązywania towarzystw polskich. Pośrednio zaś wyrok trybunału zaznacza, że urzędnikom Niemcom niewolno być sprawiedliwymi i bezstronnymi wobec Polaków, bo rząd sobie tego nie życzy, bo to się nie podoba hakatystom.

Rolla właściwie złożyli z urzędu hakatyści. Nie pierwszy to wypadek tego rodzaju. Obecnie np. prowadzą oni kampanię przeciw landratowi pleszewskiemu Roellowi, którego w swych pismach oskarżają o »przeszkadzanie skutecznemu zwalczaniu polonizmu«. To wystarcza do skompromitowania dziś każdego urzędnika w wyższych i najwyższych sferach.

Zakazanie przedstawień polskich w Berlinie z powodów niby to formalnych, skonfiskowanie broszury p. Skarzyńskiego i kilka innych faktów z ostatniego tygodnia, jak również formalne prześladowanie prasy polskiej świadczą, że walka, która przybiera coraz ostrzejszy charakter, toczyć się zaczyna na całej linii. Kto ją wywołał, a raczej kto ją zaostrzył? bo walka między żywiołem polskim i niemieckim toczy się ciągle, jest nieuniknioną koniecznością historyczną, tylko może się toczyć w rozmaity sposób, przybierać rozmaite formy. Opinia publiczna polska oskarża hakatystów, ta część jej zwłaszcza, która łudziła się mrzonkami ugodowemi, a teraz, nie chcąc się przyznać do swej naiwności, szuka sprawcy pogorszenia stosunków niemiecko-polskich. Łatwo by go znaleść i wskazać mogła, ale wtedy właśnie tymbardziej uwydatniła by swoją naiwność. Hakatyści mają niewątpliwie pewien wpływ, ale nie mogą przecie narzucić swej polityki sferom rządowym. Niepodobna chyba przypuścić, że takie osobistości jak kanclerz Hohenlohe, minister sprawiedliwości i t. p. występują nieraz wbrew nawet swoim przekonaniom, bo obawiają się pp. Hansemanna, Tiedemanna i Kennemanna.

Inicyatorem i ki rownikiem dzisiejszej akcyi antypolskiej jest sam cesarz Wilhelm. Od niego samego, z jego gabinetu wychodziły takie rozporządzenia, jak zakaz grywania melodyi polskich lub polecenie zmiany barw prowincyonalnych. To czepianie się drobiazgów podobnych jest niewątpliwie objawem chorobliwej pomysłowości koronowanego dekadenta. Niepodobna powiedzieć, czy Wilhelm II działa samodzielnie, czy pod wpływem jakiejś kliki, ale że on jest kierownikiem głównym wrogiej nam polityki rządu — nie ulega to, zdaniem naszem, żadnej wątpliwości. Ministrowie pruscy nie są z pewnością przychylnie dla nas usposobieni, żaden z nich jednak, z wyjątkiem ministra spraw wewnętrznych, który jest ślepem narzędziem woli cesarskiej, z własnego przekonania nie występował by ze szczególną zawziętością przeciw żywiołowi polskiemu. Bo nawet p. Bosse był trochę innym, kiedy był swobodniejszym w wyrażeniu swych przekonań. Z obowiązku bronią oni polityki i zarządzeń rządu, ale już nieudolność i często niedorzeczność tej obrony, jak również wtrącane czasem słówka i zdania, dowodzą, że ministrowie nie czują właściwie potrzeby używania w postępowaniu z ludnością polską ostrzejszego tonu. Ma się rozumieć, większość z nich, jeżeli nie wszyscy robić będą i mówić, co im rząd każe, sami wszakże poprzestaliby chętnie na zachowaniu *status quo*.

Poprzestały by na tem i te stronnictwa niemieckie, które rząd w sejmie i parlamencie popierają. Konserwatyści i narodowo-liberalni wrogo są przeciw nam usposobieni, projekty jednak rozmaitych zarządzeń, skierowanych przeciw Polakom, nie wychodzą z ich inicyatywy. I oni robią lub mówią, co pan każe, głosują więc za rządem, lecz sami woleliby również *quieta non movere* i nie doprowadzać stosunków do niebezpiecznego naprężenia.

Klika hakatystów i wogóle bezwzględnych wielbicieli Bismarcka jest stosunkowo nieliczną, chociaż zręcznie maskuje swą słabość krzykliwością i tężyzną. Ma ona zresztą widocznie poważny, chociaż pośredni wpływ na cesarza Wilhelma. Projekt ustawy o stowarzyszeniach, z którego nawet niektórzy konserwatyści są niezadowoleni, jest objawem skrajnej reakcyi politycznej, a dla ludności polskiej zapowiedzią pozbawienia ważnego prawa obywatelskiego. Niebezpieczeństwo jest groźnem, bo walczyć trzeba z człowiekiem rzeczywiście nie poczytalnym pod pewnym względem, coraz bardziej ulegającym obłędowi wielkości, dziwacznym i umysłowo ograniczonym.

Ta tragikomiczna figura, która tępym i trywialnym Niemcom wydaje się postacią poetyczną, rycerską i oryginalną, jest w stosunkach politycznych czynnikiem nieobliczalnym, a więc zawsze groźnym. Fatalnym błędem polityki dworskiej było zwrócenie uwagi tej osobistości na narodowość naszą i nasze sprawy. Z tego rodzaju ludzi zarówno w stosunkach prywatnych jak publicznych należy możliwie unikać wszelkiej styczności. Polityka ugodowa, niezręczna i lekkomyślna, rozdrażniła Wilhelma II i wytworzyła hakatystów. Zapobiedz jej następstwom nie możemy, ubolewać nad jej błędami byłoby daremną stratą czasu, ale chcąc sobie jasno zdawać sprawę z położenia narodowości naszej w zaborze pruskim i grożących jej niebezpieczeństw, trzeba mieć wciąż na uwadze wpływ, jaki osobistość Wilhelma II wywiera lub może wywrzeć na układ stosunków politycznych...

Podówczas gdy przedstawiciele socyalnej demokracyi galicyjskiej wespół z opozycyą niemiecką robili »obstrukcyę« i potępiali »z zasady« rozporządzenia językowe dla Czech i Moraw, organ socyalistów polskich w zaborze pruskim, *Gazeta robotnicza*, chwali hr. Badeniego, słusznie zaznaczając, że »jedyną rozumną polityką może być stopniowe zaprowadzenie reform ugodowych, które powinny rozkuć pęta kajdan, jakie w ciągu wielu wieków dźwigały narody słowiańskie w Austryi«. Widocznie szkoła ucisku narodowego wyrabia trzeźwość poglądów na tego rodzaju sprawy, bo oto *Gazeta robotnicza* tak dalej mówi:

»Jasnem więc jest, że rozporządzenie językowe hr. Badeniego było nietylko aktem sprawiedliwości historycznej, ale także i koniecznością polityczną, gdyż dziś kto chce rządzić Austryą, musi mieć oparcie w słowiańskich narodowościach. Wprawdzie nie oczekujemy żadnych cudów na polu polityki społecznej od tej zmiany, trudno jednakże zaprzeczyć, że pod wieloma względami jest ona pożądana.

»Nie miejsce tu rozwijać obszernie, o ile i jakie dodatnie rezultaty przyniesie podobna zmiana dla nas socyalistów, dość, że w tej okrzyczanej ze szlacheckiej gospodarki Galicyi, agitacya socyalistyczna znajduje daleko

mniej przeszkód ze strony rządu niż w Poznańskiem, na Śląsku, a nawet w czysto niemieckich ziemiach, jak w Saksonii«.

Ta względna rehabilitacya polskiej gospodarki politycznej w Galicyi, zamieszczona w piśmie socyalitycznem, jest faktem bardzo ciekawym i pouczającym. Nietylko socyaliści, ale w ogóle wszystkie żywioły postępowe i demokratyczne u nas obawiają się zawsze, chociaż czasem ukrywają tę obawę w głębi duszy, wszelkiego rozszerzenia autonomii galicyjskiej, którą, słusznie zresztą, podejrzywają o zachcianki reakcyjne. Obecnie uwydatniła się np. ta obawa z powodu wniosku Ebenhocha, przyznającego władzom krajowym większy niż dotychczas i w zasadzie bardzo pożądany wpływ na urządzenie szkół ludowych. Ebenhoch postawił ten wniosek w interesie szkoły wyznaniowej w prowincyach niemieckich. Stronnictwo klerykalne dzisiaj widzi, że w drodze ogólnego ustawodawstwa państwowego katolicka szkoła wyznaniowa powstać nie może, chce więc oddać sprawę szkolnictwa ludowego władzom krajowym i sejmom w nadziei, że w prowincyach niemieckich, w których ma wpływ przeważny, zamiary swoje do skutku doprowadzi. Nie narzuca jednak bynajmniej ten wniosek szkoły wyznaniowej, nie jest w treści swej klerykalnym, ale jest stanowczo autonomicznym. Opinia postępowa i demokratyczna wyraża obawę, że sfery rządzące w Galicyi, w razie przyjęcia wniosku, skorzystają z przewagi, jaką mają w kraju, i nadadzą szkole charakter reakcyjny. Być może, iż będą usiłowania w tym kierunku, chociaż pamiętać trzeba, że zachowawcy nasi sprzeciwiali się w Radzie państwa dawniejszym projektom szkoły wyznaniowej właśnie ze względu na Galicyę, na istniejące w tym kraju stosunki polityczne. Wątpić można, czy najgorliwsi wstecznicy galicyjscy zgodziliby się, zwłaszcza po niedawnych doświadczeniach, na oddanie duchowieństwu ruskiemu przeważnego wpływu na szkołę we wschodniej części kraju.

Ale gdyby nawet większa samodzielność władz krajowych w sprawie szkolnej połączona była na razie z pewnemi ustępstwami na rzecz dążeń zachowawczych i klerykalnych — nie było by to wcale dla sprawy politycznego i społecznego wyzwolenia ludu i postępów oświaty tak groźnem, jak się dziś wielu wydaje. Przedewszystkiem stosunki w kraju i w sejmie zmieniają się, zmieniać się muszą stopniowo i jeżeli nie dziś, to prawdopodobnie po przyszłych wyborach utworzyła by się większość, którąby się wszelkim próbom nadania szkole charakteru reakcyjnego oparła.

Zresztą nie trzeba przesadzać niebezpieczeństwa i należy pamiętać o tem, że wpływ szkoły, zwłaszcza szkoły ludowej jest dosyć ograniczony w zakresie stosunków społecznych i politycznych. I nadzieje klerykałów i obawy liberałów są stanowczo wygórowane. Wadliwa organizacya szkoły jest niemal wyłącznie niebezpieczną tylko ze względu na rozwój umysłowy przyszłych pokoleń. Dobrą jest przedewszystkiem szkoła, zastosowana ściśle do warunków miejscowych i właściwości umysłu i charakteru narodowego uczniów. Dzisiejsza organizacya szkół w Austryi jest złą, bo jest jednolitą, bo nie uwzględnia różnicy pochodzenia, kultury, warunków zewnętrznych. Stosuje się to w wyższym jeszcze stopniu do szkół średnich, niż do szkoły ludowej, której właściwem zadaniem jest nauczenie czytania i pisania oraz danie uczniom pewnej sumy wiadomości elementarnych. Oddanie kierownictwa sprawami szkolnemi sejmom jest pierwszym, koniecznym krokiem do naprawy dzisiejszych stosunków. Może ta naprawa popsuć niejedno w dotychczasowej organizacyi szkoły, może z początku obrać fałszywy kierunek, ale autonomia szkolnictwa stworzy grunt, na którym rozwinie się w przyszłości oświata w duchu narodowym.

Nauczyciele ludowi z Galicyi podali petycyę do Rady państwa w sprawie polepszenia warunków swego bytu. Sprawa ta należy właściwie do Sejmu, ale ponieważ Sejm próśb i żądań nauczycieli nie uwzględnił, udają się oni jakoby do wyższej instancyi. Nie sądzę, żeby nawet inicyatorowie podania tej petycyi liczyli na bezpośredni pomyślny jej skutek. Pragną oni zapewne wywołać rozprawy w tym przedmiocie w Radzie państwa w nadziei, że przebieg ich wpłynie pośrednio na Sejm. Warunki bytu nauczycieli ludowych są przykre i ciężkie. Płaca na wsi wynosi 250, 300 i 350 złr., w małych miasteczkach 300, 400 i 450 złr. Jest to niewątpliwie płaca niewystarczająca, chociaż nie można jej porównywać z »wynagrodzeniem parobków«. Pamiętać jednak trzeba, że dziś już Galicya wydaje blisko 4 miliony na szkoły, że wydatek ten nie może być znacznie powiększony, bo kraj jest ubogi a norma opodatkowania dosyć wysoka i że przedewszystkiem koniecznem jest zakładanie nowych szkół, bo liczba istniejących nie wystarcza.

Obrońcy słusznych w zasadzie żądań stanu nauczycielskiego nie podają sposobu wybrnięcia z tych kłopotów, nie pytają skąd sejm weźmie pieniędzy i na nowe szkoły i na podwyższenie płac, Oświata ludu jest sprawą bardzo ważną, ale dla polepszenia bytu jej krzewicieli nie można przecie obdzierać tego ludu z ostatniego grosza. Zresztą nawet z funduszów rozporządzalnych niepodobna dawać tyle, ile potrzeba, na oświatę, a pomijać inne sprawy, niemniej ważne dla kraju i ludu.

Ostatecznie płace wyżej podane są bardzo nizkie, ale przynajmniej na liche utrzymanie wystarczają. W Królestwie nauczyciele Polacy są na ogół gorzej płatni, a jednak, gdyby rząd nie stawiał przeszkód, nie brakłoby tam kandydatów na posady nauczycielskie.

Natomiast zupełnie słusznie dopominają się nauczyciele skrócenia czasu służby, który dziś wynosi 40 lat. Praca nauczycielska jest męczącą i prędko wyczerpuje siły. Pożądanem również i, zdaje się, możliwem byłoby stałe, zależne nie od względów władzy ale od liczby wysłużonych lat podwyższanie stopniowe pensyi nauczycielom nawet bez przenoszenia ich na inną posadę. Te i podobne żądania mogą być urzeczywistnione, ale wymaganie takiego podwyższenia płac, żeby nauczyciele »bez zarobków ubocznych mogli utrzymać odpowiednio do warunków miejscowych siebie i swoje rodziny« chociaż jest usprawiedliwionem, musi być ze względów finansowych odrzuconem i żadne petycye na to nie pomogą.

Budżet szkolny Galicyi wciąż rośnie i dziś już dochodzi do poważnej sumy. Wydatki na szkoły ludowe wynoszą 3 razy więcej, niż w Królestwie. Demagogowie ze szkoły ks. Stojałowskiego i patryoci rosyjscy z *Hałyczanina* zapominają o tem, kiedy wychwalają nizką normę opodatkowania w zaborze rosyjskim, zresztą kto wie nawet czy znacznie niższą—jeżeli dobrze obliczymy podatki pośrednie i ciężary dodatkowe — aniżeli w Galicyi. Nie jesteśmy wcale zwolennikami stosowania w gospodarce publicznej zasady oszczędnego zaspakajania potrzeb w miarę dochodów i upatrywan a źródła dobrobytu w małych wydatkach i podatkach. W gospodarce publicznej, jak i w życiu prywatnem najwłaściwszą jest zasada: dużo zarabiać i dużo wydawać. Ale przedewszystkiem trzeba zarabiać dużo, co znaczy, że

najpilniejsze są nakłady na to, co bezpośrednio lub pośrednio zwiększa zarobki ludności. Kraj nieoświecony nie może rozwijać się ekonomicznie, ale kraj ubogi nie może zbyt wiele łożyć na oświatę. Wogóle w Galicyi bardzo jest nizką skala wynagrodzenia i skala życia i bardzo powoli się podnosi. Łatwiej tu stosunkowo zrobić nakład jednorazowy, niż powiększać chociażby nieznacznie wydatki.

Obawa bezwzględna ciężarów podatkowych jest w społeczeństwie naszem, nawet w wyższych jego warstwach, powszechną. Niektóre pisma warszawskie zaznaczają, że obywatele Polacy na Litwie i Rusi są wogóle dosyć niechętnie usposobieni względem projektu zaprowadzenia samorządu ziemskiego, właśnie z powodu znacznego powiększenia opłat i podatków. Kontrybucya wynosiła kilkanaście kopiejek z morga, a teraz wypadnie płacić kilkadziesiąt. Sądzimy, że działa tu nietylko właściwa każdemu posiadaczowi, niechęć płacenia większych podatków, ale i ten wzgląd, że nowe ciężary w znacznej części użyte będą na pokrycie wydatków na urządzenia, które Polakom nie mogą być sympatycznemi. Największą zasługą ziemstw rosyjskich jest organizacya szkół ludowych i wogóle praca, mająca na celu krzewienie oświaty. Tymczasem w kraju zabranym, wobec ogólnych warunków politycznych, szkoły ziemskie i wszelkie inne urządzenia kulturalne będą nowym, sprawniej działającym niż dotychczasowe środkiem rosyjszczenia ludności polskiej, litewskiej i ruskiej.

Trudno wymagać od ludzi, chociażby rozumiejących teoretycznie korzyści samorządu, żeby płacili z zadowoleniem znaczne stosunkowo sumy na popieranie wstrętnej rusyfikacyi, której szkodliwości inne dobre strony urządzeń ziemskich nie okupią zapewne. Bo jużciż nie każdy zdobyć się może na takie wysokie poczucie obywatelskie, żeby wykładać rocznie kilkaset rubli dla wykazania, jak powiada *Słowo*, że Polacy i Rosyanie pracować mogą zgodnie »dla wspólnego dobra«.

Zakres działalności ziemstw dosyć jest szczupły. Takie sprawy, jak organizacya szkolnictwa, obywateli ziemskich Polaków rozgrzać chyba i do ofiarności skłonić nie mogą, inne są dla nich obojętne, inne wreszcie zajmują ich bezpośrednio, ale np. przyjemność rozprawiania, w dodatku po rosyjsku, o złych drogach lub nawet naprawiania ich — za drogo kosztuje. Samorząd ziemski daje wprawdzie, chociaż w bardzo ciasnych granicach, możność pracowania dla swego społeczeństwa, ale jednocześnie zmusza do pracy na rzecz »utwierdzenia zasad państwowości rosyjskiej w kraju zachodnim«. Podobno jedno z drugiem da się znakomicie pogodzić, trzeba tylko, jak zaleca korespondent warszawski *Dziennika poznańskiego* »dokładnie rozróżniać pojęcia: naród i państwo«. Nie tylko ukaz o zniesieniu kontrybucyi, ale nawet reskrypt do Apuchtina — ktoby to przypuszczał — dopomogły »myśli politycznej« korespondenta i jego współwyznawców ugodowych do rozróżnienia »idei państwowej od pojęcia narodowości«. »Rozróżnienie to nie jest dla nas — mówi on — kwestyą akademicką, teoretyczną, ono ma dla nas wielkie znaczenie polityczne. Ono to bowiem przedewszystkiem uprawnia nas i ośmiela do jawnej obrony narodowości. Nasze największe klęski przypisać winniśmy właśnie temu, że wszelkie aspiracye narodowe wcielały się w dążenia do odrębności państwowej«.

»Połączenie zaś jednego z drugiem, potrącając, jak gdyby o zdradę stanu, odejmowało nam odwagę jawnego występowania w obronie narodowości naszej. Z chwilą zaś, gdy nabędziemy głębokiego przeświadczenia, że możemy bronić naszych praw narodowych bez stawiania się w sprzeczności z interesem państwa, obrona ta może być jawną i śmielszą. Zaznaczając poszanowanie obowiązków państwowych, uczucia lojalności wobec monarchy, możemy tym goręcej podkreślać nasze głębokie przekonanie do tego, co stanowi istotę naszej narodowości, do języka, religii, historyi, tradycyi i t. d., możemy tym śmielej domagać się praw obywatelskich i instytucyi, z jakich korzystają inni, dotychczas wobec nas uprzywilejowańsi tegoż państwa obywatele«.

»Aspiracye narodowe« zawsze wcielały się i wcielać się będą w »dążenia do odrębności państwowej«, dlatego po prostu, że po za państwem nie znamy innej formy bytu narodowego, w której tenże rozwijać by się mógł wszechstronnie. Obrona zaś praw narodowych musi stać w sprzeczności z interesem państwa obcego, które ma też charakter narodowy, zwłaszcza tak wyraźny i odmienny, jak Rosya. Język, religia, nawet z dodatkiem tradycyi nie stanowią jeszcze istoty narodowości, niezbędnym jej składnikiem jest poczucie swej odrębności, samodzielności. Z całej tej tyrady jedno tylko zdanie jest poniekąd słusznem, to mianowicie, że, manifestując uczucia lojalności, »możemy tym śmielej domagać się praw obywatelskich i instytucyi, z jakich korzystają inni, dotychczas wobec nas uprzywilejowańsi obywatele tegoż państwa«. Ale ten rosyjski *Habeas Corpus* praw obywatelskich i te instytucye, z których uprzywilejowani obywatele korzystają, mogą być przedmiotem pożądań i ideałów politycznych chyba tylko Kałmuków, Baszkirów, Czerkiesów i skromnych ugodowców warszawskich.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa, 8 maja.

Pomnik Mickiewicza. Komitet i przewodniczący. Składki w redakcyach gazet. Widoki powodzenia sprawy. Mikołaj II robi konkurencyę autorowi „Dziadów". Przewidywany przyjazd carski. Dar narodowy dla monarchy.

W dniu 1 maja z kancelaryi jenerał - gubernatora warszawskiego wyszło pozwolenie na postawienie pomnika Mickiewiczowi na jednym z placów publicznych w Warszawie, z zastrzeżeniem, żeby odpowiednie uroczystości miały charakter wyłącznie literacki. Pozwolenie pochodzi od cara, do którego się odnieść miał bezpośrednio ks. Imeretyński.

Odbierając prośbę w tej sprawie, jenerał - gubernator kazał sobie przedstawić listę 25 ciu kandydatów do komitetu, z których mianował członkami tegoż dwunastu. Nie można powiedzieć, żeby skład komitetu był całkiem szczęśliwy. Piśmiennictwo i prasę przedstawiają w nim: Henryk Sienkiewicz, Ludwik Jenike, znany tłómacz Goethego i b. redaktor *Tygodnika ilustrowanego* Zygmunt Wasilewski, kierownik *Głosu*, pisma, które w tej sprawie wystąpiło z inicyatywą, wreszcie ks. Michał Radziwiłł, urzędowy prezes komitetu. Po za tymi są w komitecie: malarz W. Gerson, przedstawiciele obywatelstwa ziemskiego: znany przywódca »ugodowców», Ludwik Górski, Aleksander Kłobukowski, ks. Jan Tadeusz Lubomirski, hr. Feliks Czacki, przemysłowiec Ludwik Szwede, wreszcie finansiści Kazimierz Natanson i Leopold Kronenberg. Przyjętym w państwie rosyjskiem zwyczajem prezesa komitetu mianowano z urzędu, a został nim, jak wspomniałem, ks. Radziwiłł. Jest to osobistość ruchliwa, wciskająca się wszędzie i wszędzie stara-

jąca się wyłazić na czoło. Nie cieszy się on sympatyą, raz ze względu na swe wstecznictwo, powtóre na brak poczucia godności narodowej. Powiadają o nim, iż ma wyraźne przekonania, ale taką do swych ideałów przywiązuje wagę, że gotów jest wcielać je w życie przy pomocy rosyjskiej policyi. Dziwiono się też bardzo, iż ks. Imeretyński, który w całej sprawie pomnika starał się zachowywać lojalnie, narzucił podobnego prezesa komitetowi, nie zasięgnąwszy przedtem opinii, czy będzie dość mile widziany przez sfery, czyniące w tej sprawie starania, nie mówię już — przez całe społeczeństwo. Później dopiero okazało się, iż ks. Radziwiłł zawdzięcza swą nominacyę temu, że sam się na prezesa podał. Poinformował on w prywatnej rozmowie jenerał-gubernatora, że komitet życzy sobie mieć go przewodniczącym. Wobec tego, że sprawa wyszła na jaw, kto wie, czy żądnemu zaszczytów księciu nie będzie wypadało podać się do dymisyi, a podobno i dwaj inni członkowie mają zamiar z komitetu wystąpić.

Komitet na pierwszem posiedzeniu wybrał na wiceprezesa Henryka Sienkiewicza, na skarbnika Leopolda Kronenberga i na sekretarza Zygmunta Wasilewskiego.

Wyszła już od niego pierwsza odezwa do społeczeństwa, w której nie ma jeszcze mowy o sposobie zbierania składek. W tym względzie rodzi się pewna trudność.

Jak wiadomo, zbieranie składek przez redakcye gazet zostało za rządów Pietrowa obwarowane surowymi i wstrętnymi przepisami, w których główną rzecz stanowi: 1) zakaz samodzielnego rozporządzania funduszami i obowiązek przesyłania składek odpowiednim instytucyom oraz władzom rządowym, 2) warunek prowadzenia ksiąg sznurowych w języku rosyjskim. Ponieważ oberpolicmajster żądał obecnie wykonania powyższych warunków, przeto redaktorowie dwóch najbardziej rozpowszechnionych pism codziennych, *Kuryera warszawskiego i Kuryera codziennego*, wnieśli w tej sprawie skargę do jenerał-gubernatora*).

Znając usposobienie ogółu, można być pewnym, iż składki na pomnik popłyną szybko i nie trzeba będzie długo czekać na sumę 100.000 rubli, którą w pozwoleniu na pomnik za kres położono. Nie znaczy to wszakże, ażeby sprawa wzniesienia pomnika nie miała w społeczeństwie przeciwników. Jedni sprzeciwiają się w zasadzie przystępowaniu do wznoszenia pomnika na gruncie zaboru rosyjskiego w chwili, gdy cierpimy taki ucisk polityczny i narodowy. Powiadają oni, iż ubliża to pamięci poety prosić o pozwolenie na pomnik — rządu, który był mu tak nienawistnym i który dziś jeszcze część jego dzieł prześladuje. Nie podobna temu stanowisku odmówić pewnej słuszności, pomnik bowiem nie jest powszednim chlebem w życiu narodowem, bez któregoby się nie można było obejść. Przez wzniesienie pomnika naród wypowiada swe podnioślejsze myśli i uczucia, a wiadomo, iż w tym wypadku wypowiedzenie ich w pełni nie będzie dozwolone, i cała uroczystość z konieczności musi mieć charakter połowiczny. Inni obawiają się, że za sprawą rządu i społeczeństwa rosyjskiego, a wreszcie i naszych nadnewskich Polaków z *Kraju*, uroczystość może być zamieniona w święto polsko-rosyjskie. Domyślają się już, że warunkiem pozwolenia jest napis na pomniku w dwóch językach, aczkolwiek o tem jeszcze mowy niema, bo sprawa zadecydowana została dopiero w zasadzie i szczegółów dotychczas nie przesądzano. Trzeba zaś mieć nadzieję, iż komitet raczej wolałby odstąpić od całej sprawy, niż ozdabiać pomnik napisem, któryby go spokrewnił z jedynym dotychczas dwujęzycznym pomnikiem siedmiu Polaków »poległych za wierność swojemu monarszę« w r. 1830, zwanym przez lud pomnikiem »siedmiu zdrajców«. Wobec tego, że już sprawa pomnika weszła na drogę urzeczywistnienia, wspomniani wyżej przeciwnicy pogodzili się na ogół i agitacyi przeciw pomnikowi prowadzić nie będą, byłaby ona bowiem bezcelową. Dziś każdemu powinno chodzić o to, ażeby cała sprawa była poprowadzona jak najrozumniej i... jak najuczciwiej, ażeby lepiej rzecz utrzymać w granicach skromniejszych, niż narażać się na niepożądane dodatki do uroczystości, ażeby z drugiej strony ochronić pamięć najdroższego narodowi człowieka przed szachrajami politycznymi, którzy pod pokrywką czci dla poety chcą swoje geszefty powszednie obrabiać.

W ostatniej chwili znalazła się jeszcze jedna kategorya przeciwników pomnika, którzy piją z całkiem odmiennej beczki. Do tych należy członek komitetu »pomnikowego«, p. Ludwik Górski, mający zresztą zamiar z niego wystąpić. P. Górskiemu i jego współwyznawcom politycznym nie podoba się, że sprawa pomnika traktowana jest z takim pośpiechem, że niezwłocznie przystępuje się do zbierania składek, co przeszkodzi składkom na cel inny, według nich pilniejszy. Na jaki?... Jak wiadomo Mikołaj II zamierza w sierpniu roku bieżącego odwiedzić Warszawę. Pomiędzy ugodowcami dawno już kołacze się myśl uczczenia przy tej sposobności młodego cara i wystąpienia samozwańczo w imieniu społeczeństwa na znak, że umie ono cenić jego łaski. Pragnęli oni ofiarować carowi kosztowny upominek, ale zamiary ich zostały udaremnione przez znany ukaz carski, zabraniający wręczenia podarków. Wobec tego trzeba było zmienić projekty. Inicyatywy podjął się p. Ludwik Górski. Nie pytając nikogo o mandat, zwrócił się on do ks. Imeretyńskiego z zapytaniem: jak będzie przyjęty przez cesarza projekt fundacyi jego imienia. Książę po zapytaniu cara dał p. Górskiemu odpowiedź, charakteryzującą rosyjskie stosunki: cesarz raczył się najmiłościwiej zgodzić na jego zamiar z tem wszakże zastrzeżeniem, aby był systematycznie i dokładnie informowany o wszystkich fazach jego urzeczywistnienia. Mając tę odpowiedź w ręku, p. Górski zwołał do siebie około czterdziestu przedstawicieli kapitału zarówno z arystokracyi, jak ze sfery przemysłowo-handlowej i polecił im, aby zastanowili się nad rodzajem fundacyi, nie poddając wcale pod obrady kwestyi, czy fundacyę wogóle tworzyć warto i należy. Ostatecznie niewiadomo jakiego rodzaju będzie owa sławna fundacya, najprawdopodobniej wszakże będzie to dom starców i kalek imienia Mikołaja II. Pozostawione to zostało do dalszej decyzyi.

Otóż, przenosząc marzenie o wzniesieniu tej instytucyi ze składek ogółu polskiego, z drugiej zaś strony, obawiając się, że Mickiewicz może zabrać część grosza, któryby się dostał Mikołajowi II, ugodowcy nasi zaczęli przeciw pomnikowi agitacyę. *Słowo* powiada, że »sprawa pomnika dla Mickiewicza zbyt żywo zajmuje dzisiaj umysły w naszem społeczeństwie«, a przecie jest to sprawa, która się nie przestarzeje, która na pewnej zwłoce nie traci nic, idzie zaś o to, »ażeby niewczesnem a jednostronnem zaabsorbowaniem naszej uwagi sprawą, należącą więcej do dziedziny uczuć, niż rozumu stanu, nie odciągano naszych umysłów od spraw, w ogólnych swoich skutkach donioślejszych« *Sapienti sat.*

* * *

Pińczów, w końcu kwietnia.

Nie przypuszczam, ażeby czytelnik *Przeglądu* oczekiwał odemnie jakichś wiadomości donioślejszych, mających znaczenie szersze. Niewielka mieścina powiatowa gubernii kieleckiej, położona zaledwie o kilka mil od granicy austryackiej, jest cichym kątem, w którym życie płynie jednostajnie i powoli, a jeżeli się zdarzy coś mniej zwyczajnego,

*) Obecnie już wiadomo, iż pomocnik jen. gubernatora, ks. Obolenskij dał redaktorom odpowiedź, w całości potwierdzającą owo rozporządzenie Pietrowa. *Przyp. red.*

to nigdy prawie nie bywa to rzecz, mogąca szerszy ogół zająć. Fakty naszego życia mogą mieć wartości tyle tylko, ile dają obraz życia miejskiego na prowincyi, które przecie stanowi ogromną część życia całego kraju. Teraz, gdy na porządku dziennym są sprawy polityczne, gdy wszyscy mówią o kwestyi rosyjsko-polskiej, o stosunku naszym do rządu i rządu do nas, o zmianie w systemie rządzenia naszym krajem, o rządach legalnych w przeciwstawieniu do dotychczasowych, systematycznie popełnianych nadużyć, warto pamiętać, że i jakaś Łęczyca, Sandomierz lub Pińczów ma swoją politykę, swoją specyalną kwestyę rosyjsko-polską, która nie powinna być ogółowi obcą. Ważną jest rzeczą, co powiedział książę Imeretyński do p. X. lub Y., czy rozmawiał grzecznie, czy niegrzecznie i t. p., ale nie szkodzi też wiedzieć, jak wygląda pożycie z władzami milionów, mieszkających zbyt daleko od zamku królewskiego w Warszawie, ażeby mogły sobie wyrabiać pojęcie o dzisiejszym rządzie na podstawie stosunków osobistych z nowym wielkorządcą. My tu na prowincyi słuchamy uważnie ech z Warszawy i szerszego świata, ale mamy słuszną pretensyę, żeby i nami interesowano się trochę, bo nasze życie też coś dla narodu warte.

Sądząc, iżem czytelnika dostatecznie przekonał, że warto się interesować nawet stosunkami politycznymi Pińczowa, przystępuję do rzeczy. Myślę, że najlepiej spełnię swe zadanie, gdy dam na początek kawałek «kroniki pińczowskiej« z dni ostatnich. Gdyby w jakiemś zabezpieczonem od oka żandarmów miejscu ktoś spisywał kronikę miejscową, ostatnie jej karty wyglądałyby, jak następuje:

13 kwietnia r. 1897 około domu, zamieszkałego przez komendanta pułku, Baumgartena, przechodził przybyły ze wsi właściciel majątku Kokota, Zaremba, siwowłosy starzec. Frontonu tego domu strzeże żołnierz, trzymający wartę, któremu widocznie wydano rozkaz, by nikogo nie wpuszczał na chodnik, przylegający do domu, bo gdy Zaremba znalazł się na chodniku, został przez żołnierza wypłazowany po plecach obnażonym pałaszem w biały dzień, wówczas, kiedy po uczynionej mu uwadze, zeszedł był już z chodnika. Dodać należy, że chodnik przed mieszkaniem pułkownika, jest częścią ulicy, przeznaczonej do użytku publicznego i że sama ulica, będąc niewybrukowaną, przedstawiała w ów krytyczny dla Zaremby moment morze cuchnącego błota. Zaremba udał się ze skargą do naczelnika powiatu Lubickiego i zagroził, że w razie nieotrzymania satysfakcyi poskarży się władzy wyższej. Naczelnik powiatu odrzekł, że to do niczego nie doprowadzi, gdyż przed wyższą władzą łatwo się wytłómaczą i nic z tego nie będzie. W parę dni po owym wypadku, ażeby mieć bardziej »legalny« pretekst do pałaszowania spokojnych przechodniów, na ganku postawiono »*jaszczyk*«, którego przedtem nigdy tam nie było.

Tegoż dnia wieczorem grupa oficerów na skwerze miejskim zaczepiała spacerujące kobiety, czyniąc to w sposób nader nieprzyzwoity. Nikt im w tem nie przeszkadzał.

14 kwietnia o godzinie 4 popołudniu oficer dragońskiego pułku, Nikiforow, będąc w wesołym humorze, wyjechał konno na rynek i nie zważając na panujący ruch uliczny, wyprawiał na koniu dzikie harce, jeżdżąc galopem, nagle skręcając lub zatrzymując się i t. d. Zmęczywszy się, przywołał żołnierza, któremu w dalszym ciągu rozkazał wykonywać takież ćwiczenia, a gdy i ten się zmęczył, wsadził na konia ochotnika, który nawinął się naówczas pod rękę. Grono kolegów Nikiforowa, znajdując się wówczas na skwerze, pobłażliwie i zachęcająco patrzyli na te objawy oficerskiego humoru, czem podniecony N., wobec całego tłumu ciekawych, spostrzegłszy na chodniku żołnierza, zwrócił się do niego głośno z takim rozkazem: „*dawaj mnie kawo nibud' poskandalit!...*“ „*Kawo prykażetie?...*“ „*Kawo nibud' — pierwoho wstriecznoho..*“ i na początek zaczął bić żołnierza po twarzy, aż ten zalał się krwią. Przykry i wywołujący powszechne oburzenie widzów był ten widok. Żołnierz stał jak posąg, salutując, a oficer *skandalił* go po twarzy. Świadkami tej nad wyraz przykrej sceny oprócz publiczności, byli także policyanci i naczelnik żandarmeryi Sosionkow. Spotkawszy innego żołnierza, Nikiforow również *wyskandalił* go po twarzy, a następnie ujrzawszy z za węgła domu wyglądającego policyanta, przywoływał go do siebie, lecz ten, odsalutowawszy mu, powiedział „*nie imieju wremieni*“ i umknął. W pogoni za policyantem Nikiforow po drodze uderzył w twarz młodego chłopca, syna miejscowego komornika, Gnoińskiego, a gdy ten ukrył się do poblizkiej sieni, N. wpadł za nim i tylko krzyki biednego chłopca świadczyły na zewnątrz, co tam się działo. Potem N. wpadł do Magistratu. Nie zdejmując czapki, począł chodzić po sali. Tłum ciekawych obległ okna i zapełnił korytarz magistratu, do sali również wtargnęło wiele osób. Kancelista Poniewierski, wskazując na zawieszony portret cesarski, zażądał odkrycia głowy i przyzwoitego zachowania się, na co w odpowiedzi otrzymał kilka policzków od oficera. Oprzytomniawszy, Poniewierski zdobył się na odwet i wybrawszy odpowiednią chwilę, uderzył w twarz Nikiforowa, który, wybiegłszy do sieni, przyprowadził ztamtąd żołnierza i tak mu powiedział: *kawo prykażu — biej w mordu...*, ale tymczasem magistraccy stróże wyprowadzili rycerza za drzwi.

Tegoż dnia około 11 wieczorem, wzburzony i podniecony scenami, których był naocznym świadkiem, kancelista z powiatu Adamczyk, wszczął na ulicy sprzeczkę z grupą oficerów, pomiędzy którymi był jeden, nazwiskiem Bańkowski Ostatni, wspólnie z dwoma kolegami i przywołanymi na pomoc czterema ziemskiemi strażnikami, zbili okrutnie Adamczyka, poczem wsadzili go do kozy. Świadkiem tej sceny był stróż nocny i mieszkańcy poblizkich domów, zbudzeni hałasem.

15 kwietnia tenże Bańkowski, idąc w ślad za mieszkańcem tutejszym, Kędzierskim, zawołał: »*z dorogi...*« Kędzierski wraz z towarzyszem, z którym szedł razem, usunęli się na bok, aż do rynsztoku, ale dla B. to nie wystarczało: grożąc szpicrutą powiedział: »*my was wyuczym porjadka. budietie znat' czto takoje oficier...*«

22 kwietnia trzej mieszkańcy tutejsi, z których jeden nazwiskiem Jezierski, szli trotuarem i spotkali naczelnika straży ziemskiej Isajewicza w towarzystwie oficera. Isajewicz otarł się o jednego z przechodniów i uznawszy to za obelgę swej osoby, zawołał gwizdkiem na strażników, by schwycili przechodniów, ci wszakże umknęli...

Ofiary powyższych zajść są takie: Poniewierski dostał dymisyę, Adamczyk także towarzysz Adamczyka, Brzozowski, który zaraz na początku sprzeczki umknął z placu, również dostał dymisyę. Nadto Adamczyk został oddany pod sąd za napaść na oficerów. Nikiforow całą noc z żołnierzami szukał Poniewierskiego w zamiarze zabicia go, z czem się nie krył wcale, a nazajutrz opuścił pułk i wyjechał z Pińczowa. Straż ziemska gorliwie zbiera nazwiska tych, co pochwalali postępek Poniewierskiego.

Nadto śledztwo prowadzi się jedynie co do Poniewierskiego i Adamczyka, reszta wyżej wymienionych szczegółów do śledztwa nie należy, które prócz tego rozdrobniono nie łącząc w jedną całość, dla osłabienia ogólnej doniosłości sprawy.

Oto kawałek kroniki miasta Pińczowa. Stałe jej prowadzenie w korespondencyach byłoby niemożliwe, chociażby z tego względu, iż czytelnicy byliby znużeni jednostajnością wypadków. Zresztą, przytoczone zdarzenia dostatecznie cha-

rakteryzują nasze stosunki i dowodzą wypowiedzianego wyżej założenia, że i zapadłe kąty prowincyi mają swoją specyalną kwestyę rosyjsko-polską. Dla wyrobienia czytelnikowi dokładniejszych o tej kwestyi pojęć, sięgnę parę tygodni w przeszłość i przypomnę pewien fakt dosyć ciekawy.

Pewnego poranka zauważono, że figura św. Jana, stojąca dotychczas na pińczowskiej górze, została zrzucona z piedestału i potłuczona. Po wyprowadzeniu śledztwa policyjnego, komisya powiatowa sporządziła protokół, opiewający, że figura sama się osunęła. Miejscowemu dziekanowi, ks. Kubickiemu polecono wnieść podanie o pozwolenie na naprawę rzeczonej figury, które to pozwolenie, mówiąc nawiasem, dotychczas nie nadeszło. Otóż komisya w protokole świadomie przedstawiła rzecz całą fałszywie, są bowiem świadkowie na to, że figurę zrzucili i potłukli oficerowie, których nazwiska nawet są wiadome. *S. S.*

Dąbrowa górnicza, w maju.

Koszary dla kawaleryi w Sosnowcu. Czyn »obywatelski« fabrykantów miejscowych. Jeszcze ksiądz Sikorski.

W oryginalny sposób przeprowadza obecnie rząd rosyjski dzieło wybudowania koszar dla pułku kawaleryi w Sosnowcu. Uznawszy za potrzebne ze względów strategiczno-politycznych posiadanie w Sosnowcu takich koszar, oraz gotowego na każde skinienie pułku kawaleryi, postanowił rząd tę sprawę do skutku doprowadzić bez względu na przeszkody poważnej natury. Sosnowiec jest jedną z miejscowości nadgranicznych, w których, na zasadzie konwencyi międzynarodowej, rząd nie ma prawa utrzymywania znaczniejszych sił zbrojnych, oraz budowania koszar i magazynów wojskowych, ażeby więc sprawę mimo to przeprowadzić, należało rzecz całą odpowiednio oświetlić. W tym celu naczelnik powiatu będzińskiego, otrzymawszy odpowiednie tajne instrukcye, zwrócił się do miejscowych przemysłowców z propozycyą, aby wystąpili do rządu z prośbą o pozwolenie wybudowania w Sosnowcu koszar dla pułku kozaków, stałą bowiem obecność wojska w zagłębiu dąbrowskiem uważają za bardzo zbawienną dla swych interesów ze względu na zdarzające się od czasu do czasu zaburzenia robotników, oraz ze względu na stałe rozboje i kradzieże, jakie w zagłębiu dąbrowskiem grasują*). Jakkolwiek naczelnik powiatu niby tylko proponował, faktycznie jednak zażądał od fabrykantów kategorycznie, ażeby o kozaków prosili, a panowie przemysłowcy i towarzystwa akcyjne, w imię zasady »ręka rękę myje«, porozumiawszy się ze swoimi zagranicznymi zarządami, zgodzili się na propozycyę władzy. Komedyę odegrano dobrze ze wszystkimi szzzegółami, a więc zwrócono się z zapytaniem do sztabu generalnego w Warszawie: czy nie raczyłby przychylić się do prośby przemysłowców zagłębia dąbrowskiego, na co sztab po namyśle dobrotliwie się zgodził i przysłał już oddawna gotowe plany i kosztorysy na koszary. W taki to sposób dwulicowy »Janus«, pokazując sąsiadowi stroskaną o spokój i bezpieczeństwo przemysłowców zagłębia dąbrowskiego zachodnią połowę swego oblicza, dyskretnie chowa na wschodniej jego połowie swoje chytre zamiary, zyskując w dodatku 230.000 rubli, tyle bowiem kosztorys wynosi. Zresztą, można być pewnym że przy tej korzystnej operacyi panowie z generalnego sztabu także coś zarobią. Sprawę uważać należy za skończoną, wszyscy bowiem przemysłowcy, prócz pp. Schönów, przędzalników w Sosnowcu, oraz firmy »Fitzner i Gamper« w Sielcu, za przykładem towarzystwa sosnowickiego zgodzili się ponieść koszta budowy w stosunku do opłacanego podatku dochodowego. Nie obeszło się przytem bez humorystycznego epizodu: znany ze swej hojności, na cele rządowe fabrykant Dietel, nim jeszcze wysokość kosztorysu była wiadoma, dobrowolnie ofiarował na ten cel 2.000 rubli. Tymczasem obecnie, podług normy, wypadnie nań około 5.000 rubli, co musiało go niezmiernie zmartwić, nie ze względu na wydatek, bo szczodrość jego w tym kierunku jest znana, ale że ofiara jego będzie wyglądała w większej części jako niedobrowolna.

W lutym b. r. donosiłem wam o występkach miejscowego exproboszcza, ks. Sikorskiego, i o wydanym nań wyroku sądu konsystorskiego w Kielcach. Czytelnicy *Przeglądu wszechpolskiego* przypominają sobie zapewne, że, zgodnie z tymże wyrokiem, ks. Sikorski, po upływie miesiąca od chwili wydania takowego, miał być zamknięty na 3 lata w klasztorze. Tymczasem już trzeci miesiąc upływa, a występny exproboszcz siedzi sobie najspokojniej w Dąbrowie, zabawiając się wesoło w dobranej kompanii. Kilkakrotnie, przebrawszy miarkę, groził publicznie w kancelaryi parafialnej, że nie prędzej z Dąbrowy wyjedzie, aż swoich prześladowców na Sybir powysyła. Ciekawe stosunki! Faktem jest, że exproboszcz musi mieć w sferach rządowych grube wpływy i zasługi, skoro mu tak uchodzi urąganie z sądu biskupiego. *(O—ż.)*

Łomża w kwietniu.

Sprawa Hajkowicza. Procedura rosyjska w procesach politycznych. Ofiara żandarmów. Społeczeństwo i więźniowie.

W połowie lutego 1896 r. prokurator sądu okręgowego łomżyńskiego z dwoma oficerami żandarmeryi i kilku żandarmami odbyli rewizyę w mieszkaniu kasyera komory celnej w Grajewie, Józefa Hajkowicza, i aresztowali go następnie. — Działo się to w nocy i zanim dzień nastał wysłano H. pod strażą dwóch żandarmów do Łomży, odległej o mil 8 od Grajewa. Powodem aresztowania był list, pisany przez H. za granicę, przejęty zdradziecko i oddany w ręce żandarmów przez niejakiego Popowa, urzędnika drogi żelaznej w Grajewie, oraz znalezienie przy rewizyi kilku wydanych za granicą książek. Każdy, kto znał bliżej aresztowanego, wie dobrze, iż ten nie zajmował się żadną propagandą polityczną, lecz, jedynie, stojąc na gruncie legalnym, gorliwie pracował od lat kilkunastu nad oświatą ludu, szerząc pożyteczne książki, szczególnie między mazurską ludnością Prus wschodnich, oraz wspierając tamtejsze piśmiennictwo ludowe. Największą jego rozrywką w dnie wolne od zajęć służbowych były wycieczki na rowerze za granicę do Prus wschodnich w celu zapoznania się z krajem i ludem, który zupełnie jest dla nas nieznanym, chociaż zachował swoją mowę i świadomość swej narodowości. Hajkowicz miał przy sobie starą matką, siostrę i syna, który za mówienie po polsku, czytanie polskich książek i t. p. zbrodnie został wydalony z klasy siódmej gimnazyum w Słucku. Wszyscy oni po aresztowaniu jego zostali pozbawieni wszelkich środków utrzymania. Aresztowany, który przez lat kilkanaście mieszkał w Grajewie, postępowaniem swojem i prawością charakteru zdobył sobie powszechny szacunek nawet u swoich nieprzyjaciół. Zaraz więc po aresztowaniu jego obywatele miasta, chrześcijanie i żydzi, chcieli go uwolnić, składając kaucyę w sumie 10,000 r. Ponieważ jednak chodziło nie o złodzieja lub oszusta, których na-

---

*) Wprawdzie, możnaby zrobić uwagę, że przyzwoite państwo utrzymuje porządek przy pomocy policyi, nie zaś kozaków, że zatem nie trzeba osadzać w Sosnowcu rycerzy z nahajkami i pikami, ale zreorganizować policyę, która dziś jest niedość liczna i niewyćwiczona odpowiednio, wreszcie zbyt zsolidaryzowana z wszelkiego rodzaju złodziejami i opryszkami. Niema wszakże nikogo, ktoby taką uwagę zrobił i przyczynił się do właściwego oświetlenia intencyi rządu.

tychmiast by uwolniono, tylko o przestępcę politycznego, odmówiono im i zamknięto go w odosobionej celi więziennej, nie pozwolono widywać się z rodziną, ani też pisać listów, nie dano mu pomimo prośby nic do czytania, a nawet odmówiono spoczynku w dzień, łóżka bowiem w więzieniu łomżyńskiem są na dzień zamykane. — Strażnikom zaś więziennym zabroniono wdawać się z nim w jakąbądź rozmowę. Nieludzkie obejście się, które u nas jest rzeczą zwyczajną, nie mogło korzystnie wpłynąć na stan zdrowia człowieka myślącego, przywykłego do pracy i niepokojącego się o los rodziny. Nic więc dziwnego, że po kilku tygodniach wpadł on w obłąkanie. Skoro lekarz więzienny doniósł o tem właściwym władzom, stawiono go przed komisyą składającą się z urzędników sądu okręgowego i lekarzy, która uznała go za chorego umysłowo i dla ostatecznego zbadania postanowiła odesłać do szpitala obłąkanych w Tworkach pod Warszawą. Działo się to w początkach kwietnia. Potem trzymano go jeszcze dwa miesiące w więzieniu i zaledwie w połowie czerwca wysłano do Tworek, dokąd przybył w końcu tegoż miesiąca, to jest przeszło 10 dni był w drodze, którą, jadąc koleją żelazną, przebywa się zwykle w ciągu dnia jednego. Wysłano go bowiem zwyczajnym etapem razem z innymi przestępcami, pomimo że jeszcze nie był osądzonym i pozbawionym praw, a do tego, jako chory, udawał się do szpitala. Słyszeliśmy z ust wiarogodnych ludzi o nieludzkiem obchodzeniu się z nim w drodze. Po przybyciu do Warszawy włożono mu na ręce kajdany, wbrew wszelkiemu prawu, i pędzono razem z innymi od stacyi drogi żelaznej do miasta piechotą, chociaż, stosownie do istniejących przepisów, należało go wieźć osobno na furmance. Ponieważ biedak chory i osłabiony nic nie mówił i nie mógł podążać za innymi, popychano go i bito tak, że kilka razy upadł na ziemię. Doktorzy w Tworkach po dwumiesięcznej obserwacyi orzekli, że Hajkowicz jest rzeczywiście chorym. Odesłano go zatem w końcu sierpnia napowrót do Łomży, (tym razem jednak drogą żelazną pod strażą dwóch żandarmów), gdzie jeszcze raz stawiono przed wyżej wspomnianą komisyą lekarską, która potwierdziła opinię, wydaną w Tworkach. Pomimo to trzymano go w więzieniu przeszło pięć miesięcy i zaledwie w końcu lutego r. b. uwolniono. Jednocześnie prawie z Hajkowiczem osadzono w więzieniu łomżyńskiem niejakiego Mierkazina, urzędnika akcyzy, który został oddany pod sąd za nadużycia w służbie, oszustwa i kradzieże. Ponieważ M. jest Rosyaninem a do tego synem miejscowego dygnitarza, ojciec bowiem jego zajmuje posadę zarządzającego oddziałem banku państwa w Łomży, uznano go za waryata, i, nie odsyłając dla zbadania do Tworek, oddano ojcu, sprawę zaś umorzono. Nadmienić wypada, iż rolę świadka w procesie Hajkowicza odegrał wspomniany wyżej Popow, który go denuncyował, i który, jak się okazało, jest ajentem tajnej policyi. Podobne połączenie roli szpiega, denuncyanta i świadka jest w rosyjskich procesach politycznych rzeczą zwykłą. Ponieważ Hajkowicz, jako chory umysłowo, nie mógł być w zwykły sposób wypuszczonym z więzienia, oddano go księdzu Mikulskiemu, pastorowi parafii ewangelickiej w Łomży, (Hajkowicz jest ewangelikiem), który wziął go na swoją odpowiedzialność i opiekę. Pozostawiona bez żadnych środków do życia ośmdziesięcioletnia matka Hajkowicza, którą zaopiekowali się koledzy jego, nie wytrzymała ciosu jaki ją spotkał, i umarła w listopadzie r. z. Co się dalej stanie z H. trudno przewidzieć. Według zdania lekarzy stan zdrowia jego przy należytej opiece i leczeniu mógłby się polepszyć, lecz na to potrzeba środków materyalnych a tych właśnie brak. Gdyby Hajkowicz był Niemcem, Żydem lub Tatarem, z pewnością współrodacy przyszliby mu w pomoc, u nas zaś, Polaków, niema tego zwyczaju i ludzie, poświęcający się pracy dla dobra ogółu i za to od rządu prześladowani, mogą umrzeć z głodu. Ci, co pragnęliby im dopomódz, nie mogą, bo są biedni, ci zaś, którzyby mogli, stronią od nich jak od zapowietrzonych. Niebrak u nas zagorzałych patryotów, lecz patryotyzm ich wyraża się tylko słowami i to jeżeli ich nikt nie słyszy. Obecnie z uwolnieniem H. pozostał w Łomży jeden tylko polityczny więzień, niejaki Telakowski, pochodzący z Galicyi. Wie o tem całe miasto, nikt się jednak nie domyśli posłać mu od czasu do czasu kawałka chleba, aby tym sposobem okazać współczucie cierpiącemu i zrobić mniej przykrem położenie jego, chociaż każdemu wiadomo, że jedzenie w naszych więzieniach jest bardzo nędzne, rząd bowiem asygnuje na każdego więźnia tylko 20 groszy dziennie, z których, jak to zwykle bywa w Rosyi, pewna część musi pozostać w kieszeni naczelnika i innych opiekunów. *W. S.*

SMUTNY OBŁĘD.

Jak już notowano w prasie, przyczyną aresztowania Chmielowskiego, było wymienienie nazwiska jego w jednym z dzienników zakordonowych. Policya rosyjska nie wiedziała, kto miał odczyt na owem, odkrytem przez nią zebraniu przy ulicy Długiej w Warszawie, i dopiero, gdy ów dziennik ogłosił, że miał tam odczyt Chmielowski, aresztowanie zasłużonego pisarza nastąpiło.

Oburzenie, jakie z powodu tego powstało w Warszawie, jest całkiem słuszne. Mniej słuszne w tym wypadku jest piętnowanie redakcyi dziennika. Kierownicy pism galicyjskich i poznańskich, nie znając należycie stosunków zaboru rosyjskiego, pisząc o nich, popełniają często błędy, śmieszne lub szkodliwe, a zwykle cała rzecz ma źródło nie w złej woli, ale w nieznajomości rzeczy, pośpiechu redakcyjnym, często w lekkomyślności. Nie chcemy w tym wypadku bronić oskarżonej redakcyi, ale uważamy za rzecz najsłuszniejszą główną winę przypisać warszawskiemu korespondentowi tego pisma, niestety bezimiennemu. Znająca go redakcya mogła rzecz zamieścić, opierając się na jego kredycie moralnym, on zaś, wiedząc jakie skutki pociągnie za sobą podobne ujawnienie, jest winnym świadomej, rozmyślnie popełnionej denuncyacyi. Fakt, że ktoś mógł się odważyć na czyn podobny, dowodzi, iż »era ugodowa« nie pozostała już bez wpływu moralnego na osobistości z niższymi instynktami.

Nieco światła na tę sprawę może rzucić fakt następujący, który, wobec grozy położenia, uważamy za swój obowiązek podać do wiadomości publicznej:

Na jednem ze zgromadzeń zwolenników petersburskiego *Kraju* w Warszawie, które się odbyło po owem zajściu przy ul. Długiej, ale gdy jeszcze o aresztowaniu Chmielowskiego nie było mowy, przedstawiciel warszawski tego pisma, znany dziennikarz w nieszlachetnym rodzaju, p. Ludwik Straszewicz wystąpił publicznie z oskarżeniem Chmielowskiego, że pozwala sobie psuć „dobre“ stosunki społeczeństwa z rządem niedozwolonymi odczytami o Mickiewiczu, oświadczając, iż uważa za właściwe czyn Chmielowskiego w *Kraju* »napiętnować«, wymieniając autora odczytu z nazwiska. Jeden z obecnych literatów zauważył, iż denuncyacya taka podkopałaby kredyt moralny petersburskiego organu w całem społeczeństwie, a pozostali z nim się zgodzili — czemu pewnie mamy zawdzięczać, że denuncyacya ukazała się nie w *Kraju*, ale w jednem z pism zakordonowych.

Fakt ten podaliśmy ze względu na bezpieczeństwo publiczne. Dotychczas z pewną słusznością można było liczyć, iż o rzeczy, o której będzie mówił po cichu cały ogół polski, nie dowie się policya rosyjska. Dziś położenie

nieco się zmienia. O rzeczy drażliwej, ukrywanej przed żandarmami rosyjskimi, może wiedzieć cały ogół, prócz pana Ludwika Straszewicza.

JĘZYK ROSYJSKI NA KOLEJACH.

Jako przyczynek do charakterystyki »nowego kursu«, podajemy następujący dokument w przekładzie z rosyjskiego oryginału:

Warszawski Policyjno-Żandarmski Zarząd Żandarmeryi Kolejowej.

Do Pana Dyrektora d. ż. Warszawsko-Wiedeńskiej.

Nr. 778.

m. Warszawa 10 Kwietnia 1897 r.

Kopja N. Dzien. Gł. 8580.

W piśmie „Warszawskij Dniewnik" z 22 stycznia r. b. w N. 22. ukazała się notatka, że w ostatnim czasie na drogach żelaznych Kraju Przywiślańskiego daje się zauważyć znaczna zmiana w postępowaniu z rosyjską publicznością i że rosyjski człowiek nie otrzymuje odpowiedzi, jeżeli odezwie się po rosyjsku.

Chociaż fakt ten nie został stwierdzony na śledztwie, przeprowadzonem z mego rozkazu, i w okręgu powierzonego mi zarządu nie dopatrzono podobnych wypadków postępowania Polaków, zatrudnionych na drogach żelaznych, z rosyjską publicznością, dotyczących używania języka rosyjskiego przy spełnianiu obowiązków urzędowych, to jednak biorąc pod uwagę, że takie wypadki mogły jednak zachodzić, a tylko usunęły się od nadzoru urzędników powierzonego mi zarządu, mam zaszczyt prosić Wielmożnego Pana o usunięcie w drodze odpowiedniego rozporządzenia powodów do uwag, w rodzaju tych, jakie zamieścił „Warszawskij Dniewnik".

Naczelnik Zarządu, Pułkownik *Silnickij.* Adjutant Zarządu, Rotmistrz: *Trzeciak.*

Za zgodność z oryginałem:
Naczelnik Kancelaryi Zarządu d. ż. W. W.

Łabuński.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

MOWA POSŁA CZARLIŃSKIEGO.

Posłowie polscy w sejmie pruskim niemal przy każdej pozycyi budżetu zabierają teraz głos. Przy rozprawach nad etatem ministerstwa oświaty zażądali wykreślenia specyalnych funduszów w sumie 900.000 marek, na popieranie niemczyzny w prowincyach wschodnich i poruszyli znowu sprawy szkolne. Przemawiało kilku posłów polskich, ale na szczególną uwagę zasługuje mowa posła Czarlińskiego — nie tyle treścią ile tonem śmiałym i stanowczym. Odpowiadał p. Czarliński — ministrowi Bossemu, który rozwodził się szeroko o zorganizowanej agitacyi polskiej, mającej na celu odbudowanie niepodległej Polski, i »przyjacielowi« naszemu p. Sandenowi, posłowi narodowo-liberalnemu z Tylży, który wykazywał, że budzący się ruch narodowy wśród Litwinów i Mazurów, bardzo niebezpieczny dla państwa pruskiego, jest pośredniem tej agitacyi następstwem. P. Sanden 20 lat przebywał w Rosyi, poznał, jak twierdzi, dobrze Polaków i dowodził, że Prusacy stokroć lepiej postępują z nami, niż Moskale.

P. Czarliński zaznaczył, że minister Bosse i jego poplecznicy z oskarżonych starają się przedzierzgnąć w oskarżycieli. Nie wdając się w odpieranie zarzutów ogólnikowych, zażądał dowodów faktycznych uchylania się ludności polskiej od obowiązków.

P. minister przytoczył wycinki z kilku pism polskich. »Co prawda, — mówi poseł Czarliński — byłbym się po panu ministrze spodziewał lepszych dowodów; wycinki z gazet nie są bynajmniej rewolucyjnymi — są to, co najwyżej, pełne skargi głosy uciskanej, odczuwającej swe nieszczęście i wołającej o sprawiedliwość mniejszości. Cóż zresztą znaleźliście PP. w tych wycinkach? Nic chyba niebezpiecznego, gdyż inaczej powytaczanoby procesa (głos z ław polskich: Wytaczano je też!), a skoro wytoczono procesy, toć i karę ponieśli ci, co mieli zawinić«.

»M. P., przy czytaniu etatu ministra sprawiedliwości będziemy mieli sposobność wykazania, że podziśdzień i sędziowie nie zupełnie bezstronnymi są w ocenianiu niejednej sprawy naszej.

»Groził nam p. minister, iż wymusi od nas posłuszeństwo. M. P., przez rządy obecne jesteśmy tak zahartowani, iż na groźby jesteśmy zupełnie obojętni!

»Pan minister przytoczył dalej przekład polskiej pieśni »Jeszcze Polska nie zginęła!« i znów Was, Panowie, postraszył »szablą«, z którą szły legiony. Przecież nie mogły się one wybierać na wojnę z kiełbasą u boku! Ja sobie przynajmniej legionów żołnierskich, bez szabli walczących, wystawić nie umiem.

»A sprawa ta przecież tak niebezpieczną dla pruskiego rządu nie jest, skoro jeszcze w ostatniej francuzkiej wojnie ową pieśń grywano. Dopiero to w ostatnich latach nabyto dla tej pieśni takiego respektu, jakby przed trąbami, zagrażającemi murom jerychońskim, i teraz już tej pieśni nie grywają, a przynajmniej nie wojskowe kapele. Ale znów zagrają w najbliższej wojnie!

»Sprawa odbudowania Królestwa Polskiego też nie jest tak straszną.

»Ciekawym widzieć pruskiego ministra, któryby chciał przysiądz na to, iż Polska nigdy nie powstanie! Przecież można pomyśleć sobie sytuacyę, w którejby to było nawet w interesie Prus.

»Myśli i pragnienia zresztą były zawsze dozwolone — a zapewne i podziśdzień wobec konstytucyi niemi pozostaną; trzeba tylko baczyć, ażeby nie zachodziły wykroczenia — a na to przecież rząd baczy.

»Posłowie polscy jeżeli protestują przeciw nadużyciom rządowym, to właśnie tym protestem stwierdzają swą lojalność Bo nie obawa pobudza ich do tego. Jest nas dziś 20 Polaków w parlamencie, a niech tak dalej pójdzie, to zdobędziemy wkrótce i te mandaty, których nam jeszcze brak«.

Powoływanie się mówców rządowych na stosunki w państwie rosyjskiem jest dosyć dziwnem, bo przecie Niemcy, a zwłaszcza Prusy mają pretensyę do kroczenia na czele cywilizacyi. »Sam tam byłem wówczas dodał p. Czarliński, kiedy na Litwie nie było wolno mówić po polsku. To się nie dało przeprowadzić, a jeżeli tutaj niekiedy słyszymy: »Przecież nie ograniczamy waszej mowy, rodzice mogą przecież z dziećmi mówić po polsku«, to wam, Niemcom tego nie poczytujemy za zasługę, bo przecież wiemy, że inaczej być nie może, gdybyście tylko mogli — spróbowalibyście i tego środka«.

»P. Sanden utrzymnje, że Polacy powinni być wdzięczni za względne traktowanie, jakiego w państwie pruskiem doznają. Cały świat wie — jak nas traktują, tylko wy nie wiecie, że krzywdę wyrządzacie Polakom. Krzywdzić, poniewierać ciągle, drwić z uroczystych przyrzeczeń, deptać prawa przyrodzone, a następnie jeszcze wymagać wdzięczności, wymagać, byśmy o ile możności całowali rękę, która nas bije! Nie! — tak się nie spodlimy, tak nizko nie upadniemy!«

Posłowie przemawiają zawsze w imieniu Koła polskiego, zresztą podczas mowy p. Czarlińskiego koledzy jego sejmowi zaznaczali niejednokrotnie, że się z nią całkowicie solidaryzują.

„POLSKIE STRONNICTWO CZYNU“.

W przeszłym roku burmistrz miasta Gniezna złożony został z urzędu przez prezesa regencyi bydgoskiej, znanego Tiedemanna, za to, że podczas aktu zamknięcia wystawy gnieżnieńskiej, po wzniesieniu okrzyku na cześć cesarza, nie pozwolił kapeli wojskowej zagrać humnu narodowego pruskiego. O powodach tego zakazu rozmaicie mówiono. Roll, Niemiec rodowity, był jako burmistrz dosyć dla Polaków przychylnym, właściwie tylko sprawiedliwym, ale, ma się rozumieć, nie mógł mieć zamiaru urządzenia manifestacyi patryotycznej polskiej, Po prostu był owego dnia w dobrym, a raczej w złym humorze wskutek zapewne licznych toastów i pokłócił się z kapelmistrzem.

Hakatyści strasznie obruszyli się na niego i tak umieli przedstawić sprawę, że wyższe instancye postanowienie prezesa regencyi zatwierdziły. P. Roll odwołał się wówczas do najwyższego trybunału administracyjnego, który wydał przed kilkoma tygodniami wyrok w tej sprawie, teraz dopiero ogłoszony.

Wyrok w sprawie p. Rolla dosyć jest ciekawy i znamienny, Najwyższy trybunał podzielił zdanie poprzednich instancyi, że burmistrz wydał zakaz „ze względu na nieprzyjazną dla państwa część ludności polskiej (*aus Rücksichten auf den staatsfeindlicher Teil der polnischen Bevölkerung*). Postępowanie oskarzonego Rolla każe przypuszczać koniecznie, że opierało się na motywach, o których on uważał za stosowne milczeć. Oto są te motywy.

»Ludności polskiej w Gnieźnie zrobiono z okazyi wystawy przy jego współdziałaniu, a przynajmniej bez protestu z jego strony, mimo że jako honorowy przewodniczący komitetu wystawowego dosyć miał do tego sposobności. różne ustępstwa w dziedzinie narodowej (!) Przy otwarciu wystawy wygłoszono obok niemieckiej mowy także mowę polską; podczas uczty, która się odbyła po akcie otwarcia wystawy, wygłoszone zostały także dwa toasty w języku polskim, programy koncertów, urządzanych podczas wystawy, drukowane były również w języku polskim. Ze strony polskiej żądano także pozwolenia na wygłoszenie polskiej mowy przy akcie zamknięcia wystawy. Komitet wszakże oparł się temu, za to miano zaniechać odegrania hymnu narodowego dla uspokojenia wzburzenia umysłów. wywołanego w kołach polskich skutkiem zakazu mowy polskiej. Takimi więc »musiały być» — powiada trybunał administracyjny — motywy oskarzonego, które go spowodowały do wydania wyraźnego zakazu odegrania hymnu narodowego. Sądził zapewne, że przez to przysłuży się tylko tej części polskiej publiczności, o której przypuszczał, że zamanifestowanie przynależności do państwa pruskiego przez odegranie owego hymnu narodowego wywoła wśród niej niezadowolenie i przykre uczucia.

»Przypuszczenie takie mogło się odnosić tylko do takich osób, które ożywione są wrogiemi państwu dążeniami i skłaniają się do idei polskiego stronnictwa czynu (?).

»Najwyższa izba administracyjna przyjęła jako fakt notoryczny (!) w wyroku z dnia 11 stycznia 1888 r., ogłoszonego w dzienniku rozporządzeń ministeryalnych z r. 1888 str. 33, że w polskich niegdyś dzielnicach monarchii pruskiej oddawna istnieje stronnictwo czynu, którego cele — aczkolwiek niejasne i sprzeczne są często przedostające się do wiadomości publicznej objawy środków, z pomocą których dąży do ich urzeczywistnienia — wyraźnie zamierzają jeżeli nie do zupełnego oderwania tych dzielnic od Prus, to do takiej zmiany ich prawnopaństwowego stanowiska, że przez to konstytucyą gwarantowany porządek państwa pruskiego i rzeszy niemieckiej w swoich podstawach zupełnej uledzby musiał zmianie. W wspomnianym wyroku wykazano także, że istotnie w ponawianych kilka razy powstaniach agitacya tego stronnictwa znalazła swój wyraz w zdradzie stanu i rozruchach.

„Oskarzony nie chciał zapewne swoim zakazem poprzeć usiłowań stronnictwa, ale spotyka go ciężki zarzut, że wogóle na osoby, które się wewnętrznie (?) zgadzają na usiłowania owego stronnictwa, miał wzgląd w ich duchu i że nie wahał się okupić zadowolenia tych osób w ten sposób, iż li tylko ze względu na nie zabronił wykonania manifestacyi w pruskim duchu narodowym, podczas gdy jako głowa gminy większego miasta, z ludnością pod względem językowym mieszaną, obowiązanym był trzymać wysoko sztandar idei narodowej i nie zaniedbać żadnej sposobności aby ją zamanifestować i popierać. Zamiast tego okazał antynarodowo usposobionej części ludności względność, która z jego obowiązkami się nie zgadzała«.

Tak brzmi uzasadnienie wyroku, które, nie mając tekstu niemieckiego. podajemy w przekładzie *Dziennika poznańskiego.*

Nie trzeba być prawnikiem. żeby zrozumieć zupełną dowolność tego uzasadnienia i opartego na nim wyroku. »Notoryczność« istnienia »polskiego stronnictwa czynu« i objaśnienie jego celów pozwalają, niestety, przypuszczać, że i w sprawie rozwiązania towarzystw polskich najwyższy trybunał administracyjny wyda wzrok w myśl życzeń rządu i hakatystów.

LIGA ANTYGERMAŃSKA.

Gazeta toruńska donosi, że w liście, na którym był stempel poczty w Miechowie (gub. kielecka) otrzymała hektografowany »Wyciąg z programu«, opatrzony pieczęcią z napisem »Liga antygermańska Słowian zachodnich«. Ów »wyciąg tak brzmi:

I. Cel: Przeciwdziałanie energiczne wszelkiego rodzaju germanizacyi Słowian, ekonomicznej i duchowej.

II. Środki: Popieranie oświaty i dobrobytu narodowego, a wypieranie niemczyzny z ziem słowiańskich we wszystkich kierunkach wogóle: mianowicie przez zakładanie w tymże duchu czyteln, rozpowszechnianie odpowiednich dzienników, broszur, książek, przez odczyty, artykuły, odezwy itp.

III. Zarząd: Rada główna i oddziały wykonawcze: polski, czeski, łużycki, słowacki słoweński, chorwacki i serbski, oraz coroczny zjazd ogólny członków i korespondentów Ligi.

Orędownik, który wykazuje dziwną dla takiego trzeźwego i rozsądnego pisma obawę wszelkiego rodzaju odezw i utworów nielegalnych, sądzi, że jest to „skrypt grubo podejrzany«, wspomina o Tauschu, (*Kuryer poznański* mówi nawet z tego powodu o Baerensprungu, znanym prowokatorze) i ostrzega, żeby unikać »narwańców“ prawdziwych lub udanych.

Możemy te obawy uspokoić. Przed 10—12 laty otrzymały pisma warszawskie ten sam wyciąg z programu i zawiadomienie o założeniu »ligi antygermańskiej«. Założycielem jej był p. S. C. literat warszawski, człowiek niewątpliwie uczciwy, ale polityk dosyć naiwny. Liga, zdaje się, istniała tylko na papierze, chociaż przypominamy sobie, że czytaliśmy coś o niej w jakiemś piśmie czeskiem. Nie jest to więc prowokacya, ale nie jest również ten wyciąg z programu dokumentem poważnym i ogłaszanie go było niepotrzebnem.

SPRAWA O BŁOGOSŁAWIEŃSTWO.

P. Kulerski, redaktor *Gazety grudziądzkiej* pojechał wraz z innymi pielgrzymami na jubileusz św. Wojciecha do Gniezna, poprosił arcybiskupa Stablewskiego o błogosławieństwo i otrzymawszy je, ogłosił o tem w swojem pisemku. Dzienniki niemieckie rozdmuchały ten fakt. *Nat. lib. Corresp.* uderzyła gwałtownie na arcybiskupa, że miesza się »w sposób nadzwyczaj niebezpieczny do spraw politycznych innych prowincyi i dyecyzyi«, i naiwnie wyznała, że takie postępowanie »podkopuje niemczyznę, która się opiera o biskupów dr. Rednera w Pelplinie (chełmiński), dr. Thiele w Fromborku (warmiński) i kardynała Koppa we Wrocławiu«. Liberalny dziennik zuchwale przypomina ks. Stablewskiemu specyalną »przysięgę na wierność«, złożoną przy obejmowaniu godności arcybiskupiej.

Kapelan arcybiskupa, ks. Stryjakowski z polecenia swego zwierzchnika posłał do dziennika niemieckiego następujące sprostowanie.

»Wiadomość, jakoby ks. Arcybiskup gnieźnieński i poznański p. Kulerskiemu, wydawcy »*Gaz. Gr.*«, udzielił błogosławieństwa jest o tyle prawdziwą, że Jego Arcybiskupia Mość żadnemu z pielgrzymów, którzy przybyli na 900 letni jubileusz św. Wojciecha do Gniezna i prosili o błogosławieństwo, go też nie odmówił, i że pomiędzy tysiącami pielgrzymów był także p. Kulerski, ktory prosił dla siebie i swej rodziny o błogosławieństwo; natomiast blogosławieństwo nie zostało udzielone jego »gazecie«, gdyż ks. Arcybiskup gazety tej ani nie czyta, ani też nie abonuje«.

Ton i treść tego sprostowania, sam fakt zresztą odpowiadania na brutalną zaczepkę pisma niemieckiego rzucają światło na obecne położenie duchowieństwa polskiego w zaborze pruskim.

To położenie bardzo jest drażliwem i niebezpiecznem. Byłaby zabawną, gdyby nie była jednocześnie tak smutną pretensya tych pism i kół, które najwyższe kierownictwo spraw narodowych złożyć chcą w ręce arcybiskupa, zmuszonego do udzielania wyjaśnień pierwszemu lepszemu pismakowi niemieckiemu. *Gazeta grudziądzka* jest pismem katolickiem i nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby otrzymała błogosławieństwo. Zresztą wszelkie osobiste, czy za pośrednictwem kapelana usprawiedliwianie się wysokiego dostojnika kościelnego jest i dla osoby i dla godności jego ubliżającem i niewątpliwie tylko smutna konieczność zmusić mogła ks. arcybiskupa Stablewskiego do takiego upokorzenia się publicznego, które wywołało uczucia bardzo przykre w społeczeństwie polskiem.

POMNIK W KOŚCIANIE.

Pisaliśmy niedawno o udziale księży Polaków w zbieraniu składek na pomnik Wilhelma I w Inowrocławiu. W Kościanie obywatele Niemcy wystawili już zmarłemu cesarzowi pomnik, którego odsłonięcie nastąpiło 9 maja.

Pod odezwą komitetu, zajmującego się urządzeniem tej „patryotycznej uroczystości“, podpisani są dwaj Polacy— proboszcz ks. Surzyński i dr. Bojanowski.

O uczucia polskie tego rodzaju ludzi posądzać nie można. Ale są, przynajmniej chcą być prawowiernymi katolikami. Katolicy Niemcy oświadczali wyraźnie, że nie chcą brać udziału w uczczeniu pamięci Wilhelma I w setną rocznicę jego urodzin, katolicy Polacy, w dodatku księża, innego są zdania i w gorliwości lojalnej zapominają o prześladowaniu kościoła i narodowości polskiej, składając hołd publiczny prześladowcy. Jest to niewątpliwie następstwem bezpośredniem polityki ugodowej i zgodnego z jej wskazaniami stosunku duchowieństwa polskiego do rządu.

Z GALICYI.

METAMORFOZY KS. STOJAŁOWSKIEGO.

Ks. Stojałowskiemu sprzykrzyła się już wreszcie klątwa i przymusowa bezczynność, na jaką skazywało go kilkumiesięczne wygnanie na ziemi węgierskiej. Wniósł więc prośbę do ministra sprawiedliwości o wydanie mu »listu żelaznego« z pozwoleniem chwilowego powrotu do Przedlitawii, zaręczając pod słowem honoru, że się na pierwsze wezwanie sądów dobrowolnie przed nimi stawi. List taki został mu rzeczywiście wydany. Niezwłocznie też ksiądz redaktor wyjechał przez Cieszyn do Wiednia, zjawił się w parlamencie ku niemałemu zdumieniu posłów a szczególnej radości swoich »oficerów«, złożył również wizytę nuncyuszowi apostolskiemu, który »wyklętego« przyjął podobno bardzo uprzejmie, i odbył nadto konferencyę z ministrem sprawiedliwości, który, jak słychać, przyrzekł mu dopomódz do pomyślnego załatwienia nieprzedawnionych jeszcze rachunków z sądami, pod warunkiem atoli, jeśli wpierw ukorzy się w Rzymie i uzyska zdjęcie klątwy kościelnej. Obu dygnitarzom, duchownemu i świeckiemu, miał się Stojałowski zobowiązać do rychłego wyjazdu na południe.

Z powyższych szczegółów wnoszą, że w działalności Stojałowskiego nastąpił zwrot stanowczy w dwóch kierunkach: że mianowicie niedoszły pogromca hr. Badeniego pogodził się z rządem trwale (?) i że ma zamiar w najbliższej przyszłości rozpocząć na szerokie rozmiary w Galicyi agitacyę wyłącznie antysemicką, przy materyalnem zapewne poparciu przywódzców antysemityzmu wiedeńskiego, którzy głównie mieli mu zgodę z rządem ułatwić.

Pierwsze przypuszczenie opiera się na faktach, drugie, jak dotąd, tylko na mniej lub więcej trafnych domysłach. W stosunku Stojałowskiego do rządu istotnie nastąpiła raptem gwałtowna zmiana. Ostatnie numery *Wieńca* i *Pszczółki* prawią komplementy ministrowi sprawiedliwości, hr. Badeni zaś, na którego samo wspomnienie do niedawna jeszcze ksiądz redaktor doznawał uczuć niezbyt przyjemnych, otrzymał od niego wyraźną pochwałę za sprawiedliwe rozporządzenia językowe. Stojałowski odróżnia już teraz osobę prezydenta ministrów od stańczyków, którym dalszą zapowiada walkę. Ten dość niezręczny, a niewątpliwy odwrót tłómaczy się w zupełności chwilową potrzebą. Odzyskanie swobody cywilnej i duchownej jest koniecznem dla »wyklętego“ agitatora, który z czynnem życiem politycznem wcale jeszcze zrywać nie myśli. Aby cel osiągnąć, ks. Stojałowski, jak wiadomo, nie przebiera w środkach. To też skorzystał tylko skwapliwie z nadarzającej się sposobności, aby się oddać tym, na których wczoraj jeszcze zaciekle napadał. Niema tu jednak mowy o zgodzie trwałej, do której Stojałowski z nikim nie był i nie jest zdolny, chodzi mu jedynie o uregulowanie stosunków na razie w sposób dla siebie najkorzystniejszy. Zasady żadne dla niego nie istnieją, powoduje nim tylko ambicya i zarozumiałość, to też ci, którzy wierzą w trwałość tego odwrotu, mogą się z góry przygotować na niespodzianki i rozczarowanie.

Zwrot wyraźnie antysemicki zaznaczył się w pisemkach ks. Stojałowskiego zaraz po wyborach. Ostatnimi czasy redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* wypowiada również stopniowo przyjaźń swoją socyalnym demokratom, którzy go wraz z żydami najsilniej w niedawnych opresyach popierali. Może to więc przygrywka do czynnego wystąpienia w popularnej roli pogromcy żydostwa? Brak wprawdzie dotąd pozytywnych na to dowodów, ale przypuszczenia są trafne i, kto wie, czy nie ziszczą się w bardzo niedługim czasie.

Metamorfoza taka, zapewne przykra dla socyalistów i żydów, nie byłaby wcale dziwną dla tych, którzy nie od

dziś znają zdolność »agitatora w sutannie« do przerzucania się z czystem sumieniem z jednego obozu w drugi, do przybierania w miarę potrzeby i własnego interesu barw kameleonowych. Jeżeli jednak pogłoski się sprawdzą, jeżeli ks. Stojałowski stanie istotnie — choćby na pewien czas tylko — w szeregach przyjaciół hr. Badeniego i żydom jawną walkę wypowie, co pocznie wówczas sztabowy »oficer księdza redaktora«, obecny przywódca stojałowczyków dr. Danielak, który wyborcom swoim święcie przyrzekał, że »z pazurami będzie wyskakiwał do ministrów« i »uczciwych żydów« zapraszał do współudziału w stronnictwie »chrześcijańsko-socyalnem?« Zaiste, smutny jest los posła »z woli ludu!«

PROTESTY WYBORCZE.

Komisya legitymacyjna wiedeńskiej Rady państwa, wybrana dla sprawdzenia zakwestyonowanych wyborów, a złożona przeważnie z członków obecnej większości rządowej, dała opozycyjnym stronnictwom słuszny powód do ostrej krytyki. Porozdzielano sobie mianowicie protesty wyborcze w ten sposób, że poszczególnymi referentami zostali bądź znani przyjaciele polityczni, bądź w kilku wypadkach skrajni przeciwnicy posłów, których wybory mają być sprawdzone. Co więcej, niektórzy z tych referentów mają także protest przeciw swoim własnym mandatom na sumieniu. Odnosi się to przedewszystkiem do członków Koła polskiego, które wśród wszystkich klubów izby odznacza się największą cyfrą protestów. Stronniczość w rozdziale referentów jest tymbardziej rażąca, że 7 członków komisyi nie otrzymało żadnego protestu do załatwienia, inni dostali po jednym lub dwa, a niektórzy posłowie z większych posiadłości i to znowu przeważnie członkowie Koła polskiego podjęli się aż po 6 protestów referować. Wystąpił przeciw temu na posiedzeniu komisyi poseł Daszyński i oświadczył gotowość objęcia referatu wszystkich zaprotestowanych wyborów z Galicyi do spółki z posłem Okuniewskim. Propozycyi tej, jak łatwo zrozumieć, nie przyjęto, a p. Daszyński obliczając ją na efekt, sam zapewne na to był z góry przygotowany. Mimo to jednak niezadowolenie opozycyjnej mniejszości było zupełnie usprawiedliwione, a większość, i w tym wypadku najbardziej interesowane Koło polskie, mogły i powinny były zachować się w sposób mniej wyzywający.

W parlamencie referent zakwestyonowanego wyboru jest faktycznie także niemal sędzią, wydającym wyrok o wyborze, prócz niego bowiem nikt inny protesów i dokumentów wyborczych nie bada, jego też wniosek staje się najczęściej wnioskiem większości, a tem samem uchwałą izby. Prosta więc uczciwość polityczna wymaga, aby nie powierzano takich referatów posłom, będącym w stosunkach ścisłej przyjaźni lub jawnej niechęci do tych, których losy poselskie mają się rozstrzygać. Godność parlamentu nakazuje raczej poruczać tego rodzaju obowiązki członkom wolnym od wszelkich podejrzeń interesowności. Komisya legitymacyjna wszakże zapomina o tych zasadach i pomiata niemi, a kierując się jawną stronniczością, działa w bezwzględnem poczuciu swej siły liczebnej To też niewątpliwą jest rzeczą, że większość izby nada wnioskom komisyi moc uchwał stanowczych, i w rezultacie, łatwym do przewidzenia, przeważna liczba protestów, jeżeli nie wszystkie, zostanie uznana za bezpodstawną i będzie po prostu ubitą.

LWOWSKIE TOWARZYSTWO OŚWIATY LUDOWEJ.

Jak nędznie czasem praktyka i czyny odpowiadają najpopularniejszym hasłom, dowodzi przykład lwowskiego Towarzystwa oświaty ludowej. Instytucya ta, której początkowy rozwój do wielkich uprawniał nadziei, znajduje się dziś, po piętnastu zaledwie latach istnienia, na drodze wiodącej do stanowczego upadku. Sprawozdanie za rok ubiegły brzmi bardzo pesymistycznie. Dochody wykazują wprawdzie kwotę dość poważną bo przeszło 1800 złr., złożyły się na nią jednak przeważnie subwencye i dary, wynoszące razem 1440 złr., tak że na udział członków pozostaje zaledwie niespełna 400 złr. »Liczba członków uiszczających wkładki, czytamy w sprawozdaniu, jest nadzwyczaj mała, tak dalece, że Towarzystwo bez finansowej pomocy ze strony Sejmu, lwowskiej rady miejskiej, kasy oszczędności i t. d., nie byłoby w stanie nie tylko zakładać nowych czytelni, ale nawet zasilać nowemi książkami dawniej istniejących«. Wydział tłómaczy się, że poczynił odpowiednie kroki celem pozyskania nowych członków, nie osiągnął wszakże pożądanych wyników. »Zdaje się, że Towarzystwo nasze straciło urok nowości (!), a hasła, nawołujące do ofiarności na rzecz oświaty ludu, powoli zaczynają u nas powszednieć i to właśnie wtedy, kiedy chęć do czytania pod wpływem pracy lat poprzednich coraz bardziej u ludu naszego się wzmaga i kiedy owoce dawniejszych starań i zabiegów są już widoczne".

Właściwa działalność Towarzystwa w ubiegłym roku ograniczyła się założeniem tylko 16 nowych czytelni i zwiększeniem liczby książek w kilku czytelniach lwowskich, dawniej już istniejących. Po za tem instytucya przedstawia istny obraz »nędzy i rozpaczy«.

Prawdziwej przyczyny tego niewątpliwie smutnego objawu, jakim jest niesłychana obojętność ogółu dla Towarzystwa o celach tak wzniosłych i ważnych, (na dorocznem walnem zgromadzeniu zjawiło się wraz z wydziałowymi członków 17), naszem zdaniem szukać należy przedewszystkiem w niedołęstwie zarządu, który nie od dziś zresztą całem swojem postępowaniem zdradza, że nietylko nie myśli budzić szerszego dla instytucyi zainteresowania, ale formalnie boi się nowych jej członków przysparzać. Nie „Towarzystwo straciło urok nowości«, ale przeżyli się ludzie, zasiadający w Wydziale od szeregu lat, ciągle ci sami, a uważający »oświatę ludową« za tani, popularny sport, któremu oddawać się wolno wygodnie, bez usilnej pracy, jedynie dla dogodzenia osobistej ambicyi czy próżności. Wyrobiło się w ten sposób opaczne i wprost demoralizujące pojęcie, że towarzystwo, powołane do szerzenia oświaty między ludem, obejść się może bez naturalnych podstaw, t. j. bez ofiarnego współdziałania jednostek jak najliczniejszych, skoro tylko rozporządza pewną ilością publicznych zapomóg i darów z łaski. Takie atoli akty łaski i mimowoli połączone z niemi żebractwo prawdziwej oświacie ludowej przynosi ujmę raczej, niż korzyść. Sądzimy nawet, że dziwnem jest i do pewnego stopnia karygodnem marnowanie grona publicznego dla stowarzyszeń, których kierownictwo spoczywa w ręku moralnych niedołęgów. Instytucya nie podniesie się z upadku, dopóki nie wejdą do niej ludzie nowi, energiczni, przejęci zapałem dla pożytecznej sprawy i gorącą miłością ludu.

SZKOŁY DLA DOROSŁYCH ANALFABETÓW.

Na innem polu trafnie zrozumianej oświaty ludu mamy do zaznaczenia fakt ze wszech miar dodatni i pocieszający. Rok właśnie upłynął od założenia pierwszej w Galicyi szkoły dla dorosłych analfabetów przez jedno z krakowskich kół Towarzystwa szkoły ludowej. Ogłoszone świeżo sprawozdanie z pierwszego roku istnienia tej instytucyi, wyłącznie prywatnemi środkami założonej i utrzymywanej, zawiera kilka ciekawych szczegółów. Już w pierwszym miesiącu okazała się potrzeba otwarcia drugiego oddziału, a w niespełna pół roku trzeciego. Zapisanych jest obecnie 129 uczniów, z których najmłodszy liczy lat 16, najstarszy 69! Uczniowie ci rekrutują się przeważnie ze

stróżów domowych, posłańców publicznych, służących prywatnych, wyrobników i rzemieślniczej czeladzi. Nadto spotyka się między nimi tercyanów szkolnych, żołnierzy straży pożarnej, jednego majstra szewskiego, właściciela drobnego składu węgli itp. Szkoła uczy religii, czytania, pisania i rachunków. Dla uczniów, obeznanych już z pierwszymi początkami, osobny otworzono oddział. Nauka odbywa się przez dwie godziny w każdą niedzielę i święto, zapał zaś i pilność uczniów są tak wielkie, że wyrażali nawet niezadowolenie z zamknięcia szkoły w pierwszych dniach Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Sprawozdanie stwierdza też dobre na ogół postępy. Założenie i utrzymywanie szkoły po koniec roku 1896 wynosiło 369 zł., przyczem nie zawadzi nadmienić, że koszta te pokryto przeważnie drogą prywatnych składek, nie narażając funduszów towarzystwa.

Przykład krakowskiej instytucyi obudził już i w innych miastach galicyjskich chęć naśladownictwa. Podobne szkoły dla dorosłych analfabetów powstają w Rzeszowie i Stanisławowie, Lwów zaś z początkiem bieżącego miesiąca powołał do życia taki sam zakład, utrzymywany kosztem miasta.

PRZYCZYNEK DO SPRAWY RUSKIEJ.

Cała prasa galicyjska poruszona została wystąpieniem znanego literata i przedstawiciela ruskich radykałów, Iwana Franki. Zamieścił on w wiedeńskim tygodniku *Zeit* artykuł o Mickiewiczu p. t.: „*Ein Dichter des Verrathes*“, w którym oskarża wielkiego poetę i geniusza patryotyzmu o to, że osią, około której cała jego twórczość się obracała, była... zdrada. Dotychczas przedmiotem tego rodzaju napaści na Mickiewicza był jedynie »Konrad Wallenrod«, przyczem powołani i niepowołani krytycy rozstrząsali ten utwór częstokroć w oderwaniu od epoki, w której powstał, zapominając że złożył się nań z jednej strony duch narodu, zawiedziony w świetnych nadziejach doby napoleońskiej i buntujący się przeciw ciężkiej, upokarzającej niewoli, z drugiej zaś wpływ poezyi zachodniej, zwłaszcza zaś potężnego wówczas Byrona. Pan Franko, nietyle przez skłonność do uogólnień, ile przez chęć rzucenia społeczeństwu polskiemu obelgi, rozciągnął zarzut ten na całą twórczość mickiewiczowską i w zaślepieniu zamienił się na chwilę z krytyka literackiego w ograniczonego umysłowo rosyjskiego żandarma. Nie obawiając się śmieszności, zaczął od wskazywania faktów zdrady miłosnej w baladach, a potem znalazł ideał zdrady politycznej nietylko w »Walenrodzie«, ale i w »Grażynie«, i w »Panu Tadeuszu« (Robak), i w »Dziadach«, co do ostatnich niedość jasno zresztą się tłómacząc. Nawet wiersz »Do matki Polki« jest według pana Franki nawoływaniem do zdrady. Źródło tego upodobania w temacie zdrady i podnoszenia jej nawet do ideału, jak chce lwowski oskarżyciel Mickiewicza, widzi p. Franko w zgniliznie moralnej, która panowała w społeczeństwie polskiem w epoce przed- i porozbiorowej i przed której wpływem nawet Mickiewicz uchronić się nie mógł. Mizerne w swoich intencyach to oskarżenie naszego wielkiego człowieka i całego naszego społeczeństwa przed Niemcami kończy się zapowiedzią smutnego losu dla narodu, który wychowując młodzież na Mickiewiczu, karmi całe pokolenia »trującymi płodami jego ducha«.

Niepodobna się wdawać w polemikę z artykułem tego rodzaju, jest ona zresztą niepotrzebna. Natomiast zasługuje na uwagę sam fakt tego wystąpienia i ta bezsilna nienawiść, która go podyktowała i która człowieka bardzo inteligentnego zaślepiła do tego stopnia, iż wypisał cały szereg głupstw bezwstydnych. Gdzie leży źródło uczucia, które ten artykuł podyktowało?...

Powiadają ludzie, że w zawiedzionych nadziejach, w tem, że pana Frankę poprzednio ominęła katedra uniwersytecka, a teraz mandat do rady państwa. Stąd rozgoryczenie i chęć niskiej zemsty na społeczeństwie, na które pan Franko winę za swe niepowodzenia składa. Czy jest to prawdą, czy nie, w każdym razie, może tu leżyć tylko bezpośredni powód do wystąpienia. Właściwe źródło tego rodzaju uczuć leży głębiej.

Pewne światło rzuca tu inne wypowiedzenie się ruskiego literata.

We wstępie do polskiego wydania swoich »Obrazków galicyjskich« które się obecnie ukazało, p. Franko zamieszcza trochę wynurzeń o samym sobie. Powiada on tam, że nie lubi Rusinów, ani Rusi, że zarówno jej przeszłość, jak jej lud i jej przyroda, niczem go do siebie nie pociągają, przeciwnie nawet Ruś odpycha go swem oddaleniem od ogólnoludzkich ideałów, że patryotyzm ruski jest dla niego ciężarem, który trzeba nosić, gdy się kosztem ludu ruskiego otrzymało wykształcenie i t. d.

Dziwnem się może wydać czytelnikowi, gdy powiemy że oba te wystąpienia są ze sobą w psychologicznej zgodzie. Powiedzieliśmy już, w artykułach o sprawie ruskiej, że patryotyzmu ruskiego właściwie niema, że to, co się nim nazywa, jest tylko negacyą polskości, nienawiścią do wszystkiego, co polskie. Wystąpienia p. Franki są dokumentami, potwierdzającymi owo zdanie. Człowiek ten, górujący umysłowo nad całą t. zw. inteligencyą ruską, długo żył temi kłamstwami, któremi cała ona żyje i które ludziom mniej inteligentnym nie są ciężarem. Nie było mu z tem dobrze ale ambicya nie pozwoliła zejść z drogi, na którą raz wkroczył. W końcu wszakże, tego rodzaju egzystencya stała się wewnętrzną niemożliwością i zdolny pisarz wypowiedział się szczerze, odrazu na obie strony.

Należy zwrócić uwagę na jeden jeszcze rys wystąpienia p. Franki. Mickiewicz już nieraz bywał przedmiotem napaści, ale nikt dotychczas, żaden nawet z rosyjskich oskarżycieli, nie śmiał bez odpowiedniego szacunku traktować jednego z największych geniuszów ludzkości. Tak spoufalać się, jak p. Franko, do wielkich ludzi umie tylko niska pospolitość. Na pytanie, skąd ona się wzięła u człowieka z poważnem wykształceniem i z dużemi zdolnościami, może także odpowiedzieć tylko psychologia współczesnego ruchu ruskiego.

Redakcya jednego z dzienników polskich, którego p. Franko był współpracownikiem, wymówiła mu miejsce, cała zaś prasa galicyjska wystąpienie jego napiętnowała. Szkoda tylko, że niektóre pisma zamało w tym wypadku okazały godności i uderzając w p. Frankę, ubliżyły raczej pamięci Mickiewicza. Co ma np. na celu wymawianie autorowi artykułu, że się za polskie pieniądze uczył? Źle jest, gdy ludzie kierunek swoich artykułów stosują do źródła, z którego czerpią pieniądze.

Z KRESÓW.

Cieszyn, 10 maja.

Sprawa gimnazyum. Zebranie „Związku Katolików śląskich“. Dom narodowy. Egzamin w szkole rolniczej.

Stare przysłowie o zającu, przez psy zagryzionym wśród mnóstwa przyjaciół, stwierdza się nie od dziś na ludzie śląskim. Przyjaciół Śląska, wojujących przy każdej sposobności frazesami na temat ratowania tej »odwiecznej polskiej dzielnicy«, jest rzesza niezliczona, ale dziwna to przyjaźń, która, gdy przychodzi do czynów, podziewa się gdzieś nagle i znika. W rzeczywistości o sprawę Śląska

nie dbają wcale, a nawet zdradzają ją, jako polską sprawę ci nawet, którym nie przyjaźń dla Śląska przystoi, ale prosty obowiązek narodowy nakazywać powinien, aby się uczciwie i szczerze zajęli losem ludu, na dwie strony z wynaradawiającymi walczącego żywiołami. Obojętność Koła polskiego w Wiedniu, okazywana Śląskowi od szeregu lat stale, zaczyna coraz to smutniejsze święcić tryumfy. Obecnie już i cierpliwy lud śląski odwraca się z nieufnością od tej reprezentacyi poselskiej, która go tak długo łudziła wielkimi wpływami swymi u rządu i w państwie, a faktycznie nic nie zdziałała dla polskości na Śląsku. Zachowanie się Koła w sprawie gimnazyum cieszyńskiego i rozporządzeń językowych zaczyna już i najbardziej umiarkowanych oburzać. »Wszędzie dokoła nas — pisze *Rolnik Śląski* w swym *Przeglądzie politycznym* — w Czechach, na Morawie, i u nas na Śląsku pełno jest takich zakładów, utrzymywanych nawet przez jednostki, żadnemu z nich żadnych nie czyniono trudności, wszystkie, nawet założone równocześnie gimnazyum czeskie w Mistku, niemieckie w Frydku i Morawskiej Ostrawie mają dawno prawo publiczności, aczkolwiek nie mają samych egzaminowanych profesorów. Tylko z nami i z naszem gimnazyum cieszyńskiem obchodzą się od samego początku tak, jakbyśmy byli wyjęci z pod obowiązującej wszystkich ustawy...« «Wszystko atoli ma swoje granice. Dla nas tą granicą jest niebezpieczeństwo upadku i zniesienia gimnazyum, dzieła z takim trudem i takiemi ofiarami całego narodu powołanego do życia. Położenie jest nader krytyczne i poważne. Profesorowie gimnazyum oświadczyli, że zrzekają się swych posad, jeżeli ono przed końcem roku nie będzie miało prawa publiczności. Lud nasz, który się tak gorliwie garnie do tegoż gimnazyum, będzie w tak długiej zwłoce widział niemożebność otrzymania tego prawa i zacznie wycofywać z zakładu dzieci swoje, których przecież nie może narazić na to, by się z tego gimnazyum nigdzie nie mogły ruszyć.«

Słuszności powyższych uwag nikt nie zaprzeczy, a dowodem tego, jak się na całą sprawę lud śląski zapatruje, jest przebieg odbytego tu przed tygodniem zgromadzenia »Związku śląskich katolików«, jednej z najpoważniejszych politycznych organizacyj tego ludu. Zebranie było wcale liczne. Na wstępie zaraz poseł ks. Swieży musiał wytłómaczyć się z faktu wstąpienia do Koła polskiego. Uczynił to, bo mu się zdawało, że sprawa śląska na tem zyska, choć z ubolewaniem stwierdza, że »Koło nie zajmowało się dotąd sprawą gimnazyum tak, jakby było powinno i jak to leżało w jego siłach.« Odpowiedź ta jednak nie zadowolniła zgromadzonych. Po dłuższych obradach, wśród których ostro a słusznie piętnowano obojętność Koła polskiego dla Śląska, przyjęto jednogłośnie następujące trzy rezolucye, zaproponowane przez redaktora *Gwiazdki cieszyńskiej* dra Juliana Kreisla z Jabłonkowa: »Zgromadzenie »Związku śląskich katolików« odbyte 2 maja b. r. w Cieszynie

1) wzywa rząd, aby jak najrychlej przeprowadził równouprawnienie języka polskiego i czeskiego w urzędach, sądach i szkołach na Śląsku,

2) uchwala, aby wydział »Związku« w porozumieniu z zarządem »Macierzy szkolnej« poczynił odpowiednie kroki celem wysłania ze Sląska deputacyi do cesarza z prośbą o przyznanie prawa publiczności gimnazyum polskiemu w Cieszynie,

3) wzywa posła swego z IV kuryi ks. Swieżego, aby wystąpił z Koła polskiego, jeżeli w krótkim czasie nie zostanie przyznane prawo publiczności gimnazyum polskiemu w Cieszynie, ponieważ Koło nie zajmuje się należycie żywotnemi sprawami Śląska.«

Niewiadomo, czy uchwały powyższe odniosą rychło pożądany skutek. Agitacya jednak w obu kierunkach t. j. zarówno w sprawie gimnazyum jak rozporządzeń językowych pogłębia się i szerzy, o czem świadczą zapowiedziane już podobne zgromadzenia w innych miejscowościach śląskich. Bądź co bądź lud sam zaczyna się energicznie upominać o należne mu prawa i obłudnych »przyjaciół« odtrącać. A gdy prędzej czy później i Śląskowi stanie się sprawiedliwość, będzie to wyłączną zasługą ludu.

Ukazało się niedawno sprawozdanie »Domu narodowego w Cieszynie« za rok ubiegły, w którym przychód wynosił 1.410 złr. 55 ct. Ogółem towarzystwo posiada dotąd 21.082 złr. i z tym funduszem przystąpić ma obecnie do »akcyi przedwstępnej« celem urzeczywistnienia swych statutowych celów. Wybrano ku temu komitet, który ma się porozumieć z innemi Towarzystwami polskiemi w Cieszynie co do finansowego poparcia projektu. Co prawda, można to było zrobić już kilka lat temu, gdyby ludziom, wchodzącym w skład Zarządu Towarzystwa losy jego istotnie leżały na sercu, i gdyby sami nieco więcej wiary w swe siły posiadali. Niestety z tych samych powodów wspomniona uchwała nie budzi jeszcze wcale nadziei rychłego jej wprowadzenia w życie.

W polskiej szkole rolniczej zimowej w Cieszynie odbył się 30 z. m. egzamin, którego wynik można nazwać świetnym. Wszyscy zapisani uczniowie ukończyli szkołę ze znakomitym rezultatem.

OKRUCIEŃSTWO NIEMIECKIE.

Niedawno postępowe i socyalistyczne dzienniki niemieckie z oburzeniem opowiadały o okrutnem postępowaniu urzędnika kolonialnego Petersa z murzynami w Afryce. Sprawa Petersa była nawet przedmiotem interpelacyi w parlamencie i przedstawiciel rządu na obronę, ukaranego zresztą urzędnika, tyle tylko mógł powiedzieć, że w Afryce obowiązują inne zasady moralne.

Okazuje się jednak, że »kulturtregerzy« w rodzaju Petersa równie okrutnie postępują i w Europie. *Niederschlesische Zeitung* (wychodzi w Głogowie na Dolnym Śląsku) opisuje fakt, jakby żywcem wyjęty z kroniki cywilizacyjnej działalności Niemców w krajach afrykańskich. Przytaczamy artykuł pisma niemieckiego w tłómaczeniu dosłownem: »Czyny dr. Petersa, syna pastora, o których mówiono w parlamencie, przypomina oburzające postępowanie, którego się dopuścił także syn pastora w powiecie głogowskim, posiedziciel dóbr rycerskich, John w Laskowicach. Pan John należy do »bundu« rolników i jest tym samym panem, który, żeby gospodarzy zyskać dla »bundu«, częstował ich piwem na swój koszt, a nawet obiecywał, że bal dla nich urządzi. Razem z hr. Pücklerem najwięcej ubolewa on nad tem, że ustał dawniejszy patryarchalny stosunek między panem a ludem służebnym.

Pan John zatrudnia na swojem dominium w Laskowicach polskich robotników z Królestwa Polskiego. Przed świętami wypłacił on tym ludziom w jednym tygodniu tylko szóstą część tego zarobku, jaki im się należał, resztę zatrzymał u siebie jako kaucyą. Ludzie nie chcieli na to przystać, ale po rozmówieniu się z p. Johnem zgodzili się w końcu. Jedna z polskich dziewczyn wszakże wyszła gdzieś do miasta i tam dowiedziała się, że gdzieindziej znajdą robotę i nic im na kaucyą nie zatrzymają. Wróciła w wielki piątek do swoich i namówiła ich, żeby wszyscy Laskowice opuścili. Ktoś jednak doniósł o tem p. Johnowi, a ten razem z swym rządcą Rindfleischem, z owczarzem i z wielkim psem udał się w nocy o godz. 1 na wieś do domu, gdzie owa dziewczyna spała. Tam owczarz wyciągnął ją z łóżka i wlókł do dominium, John i rządca postępowali za niemi. Na dziedzińcu John bił biedną dziewczynę grubem kijem póty, póki kija na niej nie połamał.

Świadkowie opowiadają, że dziewczyna zbita była na kwaśne jabłko. Potem kazał ją owczarzowi zamknąć w sklepie pod spichrzem, gdzie nie było ani światła, ani świeżego powietrza, ale woda na spodzie była. W takiej jamie przepędziła dziewczyna całą noc. W wielką sobotę p. John wyjechał na święta i kazał owczarzowi zamknąć dziewczynę w innym sklepie pod stajnią, gdzie było cieplej. W tym sklepie była dziewczyna więziona przez 4 dni i 4 noce. Od 21 kwietnia stoi ów sklep otworem, bo od tego czasu dziewczyna zniknęła i nikt nie wie, gdzie się udała i co się z nią stało!!«

W kilka dni później pisma niemieckie doniosły, że dziewczynę, którą potajemnie uwolnili robotnicy Polacy, odnaleziono w innej miejscowości.

Ta okoliczność, że p. John nie jest urzędnikiem i że skatowana dziewczyna jest poddaną rosyjską, nie przeszkodzi chyba poruszeniu sprawy ohydnego okrucieństwia w parlamencie, a tem bardziej w prasie. Takie sprawy trzeba wywlekać na światło dzienne, trzeba nadawać im rozgłos, jak to uczynili socyaliści ze sprawą Petersa, bo podobne fakty w opinii wszystkich uczciwych ludzi bezpośrednio lub pośrednio kompromitują rząd i dzisiejszy system polityczny. Socyaliści niemieccy znakomicie umieją korzystać z każdej sposobności dla podkopania i zdyskredytowania powagi rządu i wyższych warstw społecznych. Posłowie polscy powinni zastosować tę samą taktykę, chociaż, ma się rozumieć, w innym celu i w innym zakresie. Nietylko więc obowiązek moralny, ale i względy taktyki politycznej skłonić ich powinny do podniesienia tej sprawy, charakteryzującej tak jaskrawo wychwalaną kulturę niemiecką.

PRUSKA SPRAWIEDLIWOŚĆ WOBEC DZIECI.

Na zachodnim krańcu Pomeranii w powiecie bytowskim jest jeszcze sporo ludności polskiej i katolickiej. We wsi Grębocinie jest szkoła katolicka, która dawniej była bezwyznaniową, czyli »symultanną«. Na ścianie wisiał portret Lutra. Gmina katolicka musiała udawać się aż do ministra Bossego z prośbą o usunięcie portretu. Minister wydał rozporządzenie odpowiednie, ale mimo to obraz został na ścianie w szkole.

Niedawno dziewczynka, chodząca do szkoły, nazwiskiem Wicka dała swej towarzyszce, Ksawerze Curównie igliczkę, żeby Lutrowi oczy wykłuła. Curówna natychmiast to uczyniła, a brat jej Franciszek tak potłukł kijem portret, że tylko strzępy z niego zostały. Troje tych dzieci wezwano na sprawę do sądu ławniczego. Adwokat Niemiec, który ich bronił, dowodził, że Grębocin leży już *in der Pollakei*, sąd więc powinien mieć wzgląd na zaostrzone różnice wyznaniowe. Ale sąd innego był zdania i wychodząc z przypuszczenia, że za dziećmi muszą stać rodzice, skazał małych winowajców: Wicką na 5 dni aresztu lub 20 marek kary a Ksawerę i Franciszka Curów na tydzień aresztu lub 30 marek kary.

Moskale byliby szczersi i bez sądu ukaraliby rodziców, Niemcy udają sprawiedliwych i zachowując pozory legalności nakładają na dzieci karę, która na rodziców spada. Trudno rozstrzygnąć co jest lepszem: czy barbarzyńska dowolność, czy taka pomorska legalność.

JEDEN Z NIEWIELU.

Zmarły niedawno w Opolu, w 31 roku życia ks. Karol Myśliwiec był śmiałym i gorliwym patryotą polskim. Duchowieństwo polskie na Górnym Śląsku w części zniemczone w części dla sprawy narodowej obojętne i lękliwe, niewielu takich dzielnych jak nieboszczyk liczy pracowników, Z góry wieje prąd germanizacyjny i każdy ksiądz górno-śląski oglądać się musi na na konsystorz biskupi we Wrocławiu. I ks. Myśliwiec nie mógł rozwinąć swobodnie działalności patryotycznej, ale w trudnych warunkach robił, co mógł: pisał do gazet polskich, pouczał lud, pomagał kształcącej się młodzieży i utrzymywał z nią ścisłe stosunki.

Przed rokiem ks. Myśliwiec zamieścił w *Gazecie opolskiej*, której stałym był współpracownikiem, artykuł p. t. „Ojczyzna". Z artykułu tego przytoczymy niektóre ustępy, dające pojęcie o sposobie myślenia i uczuciach przedwcześnie zmarłego kapłana-patryoty.

„Najstraszniejszą karą, którą Bóg spuścił na bratobójcę Kaina, było to, że Bóg powiedział: „Biegunem będziesz na ziemi" tj. „człowiekiem bez ojczyzny".... Lud izraelski prowadzi Bóg do ziemi obiecanej i daje mu ją za ojczyznę. Ten sam lud karze Bóg, rozpraszając go po całej ziemi i odbierajac mu ojczyznę. Tylko narody bez dziejów nie mają ojczyzny. Cygan nie wie, gdzie jego ojczyzna — bo cygan nie ma historyi. Cygan nie wie, gdzie jego przodkowie walczyli, czem byli, czego szukali, co cierpieli i czem się radowali, i dla tego jest bez ojczyzny.

....Są tacy, którzy pragną wmówić w nasz lud, iż on *nie ma ojczyzny*, mamy tylko *Śląźk*. Ale cóż to jest ten Śląźk? Jest to *cząstka wielkiej ziemi*, która pod różnymi znajduje się rządami, ale jest polską, dawną, starą Polską. Śląźk, to Piastów dziedziczna ziemia. Tu lud od wieków polski, tu przedmurze, na które niemieckie rycerstwo, niemieccy panowie przez długie wieki nacierali.

»....Czy warto kochać ojczyznę, czy warto być Polakiem? Na to odpowiemy króciutko: Przeklęty syn, przeklęta córka, która się od zubożałych odwraca rodziców. Polak, który się wyrzeka swej niegdyś bogatej i wspaniałej ojczyzny dlatego, że Polska dziś jak wdowa uboga, w poszarpanych przez wrogów chodzi szatach i nie obiecuje synom swoim honorów, zaszczytów, chwały i korzyści, *nie jest* godzien być i *zwać się Polakiem."*

Studenci Ślązacy z Wrocławia, z którymi zmarły miał bliższe stosunki, złożyli na trumnie jego wieniec z napisem: »Śp. księdzu Myśliwcowi akademicy-przyjaciele«.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

ROBOTNICY Z KRÓLESTWA W NIEMCZECH.

Z pogranicznych z Prusami okolic Królestwa, przeważnie z gubernii kaliskiej i piotrkowskiej, następnie z warszawskiej i płockiej mnóstwo ludzi wychodzi na roboty letnie do Niemiec. Przed paru laty oznaczono liczbę tego rodzaju wychodzców czasowych na 12.000, właściwie jednak było ich z pewnością więcej. Ze względu na wzrost wychodztwa zarobkowego zaprowadził rząd rosyjski w r. b. specyalne paszporty, wydawane na porę letnią i jesienną (do listopada) włościanom, udającym się do Prus.

Robotnicy z Królestwa pracują najczęściej w prowincyach pogranicznych lub bliższych, podówczas gdy Polacy z zaboru pruskiego idą zwykle dalej w głąb Niemiec. Zdarza się jednak, że wychodzcy czasowi z zaboru rosyjskiego udają sie na roboty letnie aż do Danii.

Zarobki w porównaniu z cenami pracy w kraju są dosyć dobre, ale położenie robotników z Królestwa, nie znających ani języka, ani warunków miejscowych, bywa czasem bardzo przykre, a zawsze niepewne. Nie posiadając zazwyczaj paszportów, są na łasce przedsiębiorców i policyi, która wogóle nie robi ceremonii z poddanymi innego państwa.

Wypadek, jaki się zdarzył na Górnym Śląsku (skatowanie niemiłosierne robotnicy) należy do wyjątków, ale zaj-

ścia między pracodawcami i robotnikami z Królestwa bywają częste. *Frankf. Oder Zeitung* pisze, że 3 b. m., z miejscowości Sophienhof (około Arnswalde w Brandenburgii) odstawiono pod eskortą do granicy rosyjskiej 60 robotników Polaków, którzy zawiesili pracę i urządzili zbiegowisko, prawdopodobnie wskutek wyzysku lub złego obchodzenia się z nimi. Poprzedniego tygodnia odstawiono do granicy z poblizkiej wsi Schlagentin 87 robotników. Stwierdzono urzędowo, że wogóle przedsiębiorcy przyrzekają »przodownikom« większy zarobek niż chcą i mogą później płacić właściciele ziemscy. »Przodownicy« — tak nazywają tych robotników, obeznanych trochę z warunkami miejscowymi, którzy werbują innych i przyprowadzają przedsiębiorcy całą »partyę« — z wypłacanej przez właściciela sumy zatrzymują sobie część, jako kaucyę, na co robotnicy zgodzić się nie chcą. Następstwem tego są sprzeczki, a ponieważ właściciel z robotnikami porozumieć się nie może, wzywa policyi, która biedaków odsyła do domu.

Korzystając z nieznajomości języka i stosunków miejscowych, Niemcy wyzyskują i oszukują robotników z Królestwa, albo płatają im różne psoty w guście pruskim. Niedawno robotnik Polak w Brandenburgii, nie umiejący czytać i pisać, poprosił jakiegoś Niemca, żeby mu ułożył podanie do sądu. Wesoły Niemiec napisał następującą prośbę: »Zgnębiony Polak prosi najuniżeniej o małą karę cielesną lub o wolne mieszkanie pod kluczem. Pragnąłbym także, żeby moją Rózię obito, proszę poślijcie po nią. Prosimy o silne baty.«

W sądzie wydrwili nieboraka, ale okazali się łaskawymi i nie ukarali go za drwiny z władzy.

PRZEGLĄD PRASY.

— Zdawało się, że już zniknął nareszcie dosyć pospolity typ »korespondenta warszawskiego«, dostarczającego dziennikom galicyjskim i poznańskim opisów zmyślonych faktów i powtarzającego z namaszczeniem niedorzeczne plotki brukowe. Tradycyjnego korespondenta łgarza zastąpił w ostatnich czasach korespondent-ugodowiec, który kłamie wprawdzie czasem, ale zręczniej i rozsądniej i nie przeinacza faktów, tylko fałszywie je objaśnia lub jednostronnie oświetla. Jeden tylko dziennik — *Słowo polskie*, wynalazł sobie w Warszawie korespondenta, który godzi tradycyę z wymaganiami postępu, bo i kłamie bezczelnie i wychwala »nowy kurs«, specyalnie zaś ks. Imeretyńskiego, opowiadając cudowne legendy o jego czynach. Ten właśnie korespondent podał fałszywą i bezsensowną wiadomość o skazaniu Chmielowskiego na zesłanie do Wiatki z możnością zamiany tej kary na wyjazd zagranicę, jak również o zaproponowaniu Sienkiewiczowi prezesostwa teatrów rządowych.

Znany, grzecznie mówiąc, z naiwności dziennik lwowski, drukuje te brednie, które nawet kumoszkom warszawskim wydawałyby się nieprawdopodobnemi, a niektóre pisma nie mające dokładnego pojęcia o stosunkach w zaborze rosyjskim, w dobrej wierze plotki powtarzają, ufając poważnej firmie p. p. Szczepanowskiego i Romanowicza.

Dotychczas bohaterem legend był ks. Imeretyński, teraz przyszła kolej na naczelnika żandarmów, Onoprienkę.

Chcąc dać czytelnikom naszym, zwłaszcza warszawskim, pojęcie o korespondencyach *Słowa polskiego* przytoczymy główne ustępy z tej najświeższej baśni:

„Pomocnik księcia Imeretyńskiego, generał Onoprienko, pojechał do cytadeli. Należy ona do jego zakresu działania. Przybył zwiedzić ten gmach, w którego murach gubi się wszystko... gubią się więźniowie nieszczęśliwi i ich jęki bolesne... Generał Onoprienko od swej nominacyi był tu po raz pierwszy. Więc szczegółowo zwiedzał wszystko, z zajęciem wypytywał się o to i owo ludzi, którzy go oprowadzali po tajemniczych gmachach. Mimochodem zapytywał i niejednego więźnia, to za co siedzi w więzieniu, to znów, jak długo i t. p. Niektóre odpowiedzi zadziwiły go. Od tego i tamtego dowiaduje się, że już od lat kilku nie opuszcza celi, a nie umie dać odpowiedzi — za co go zamknięto w strasznem więzieniu. Ba, gorzej jeszcze,— bo na to ostatnie (?) nie mogli dać odpowiedzi nawet zarządcy więzień, których o to zapytywał pan pomocnik generał-gubernatora. Wówczas gen. Onoprienko zażądał aktów. Odczytawszy je, nie o wiele więcej mógł się z nich dowiedzieć. Więzień został aresztowany, bo wskazał go donos szpiega, lub padł na niego jakiś cień podejrzenia najbłahszego, odstawiono go do cytadeli i zamknięto w wilgotnej, ciemnej celi więziennej, a tymczasem śledztwo miało wykazać jego winę, lub bezpodstawność podejrzenia. Niestety, śledztwa nikt nie wdrożył, o więźniu zapomniano mimowoli, czy też z rozmysłu — i człowiek najniewinniejszy, raz zniknąwszy z warszawskiego bruku, przepadł w gmachu cytadeli.

„Generał Onoprienko widząc, że natrafił na kilku takich, domyślił się, iż musi tam być ich więcej. I kilkudziesięciu odszukał też ludzi zupełnie niewinnych, aresztowanych, ot, jak się za Hurki aresztowało w Warszawie, — bez przyczyny, oddychających powietrzem więziennem od lat czterech, pięciu— sześciu. Po większej części byli to ludzie, aresztowani na ulicach po głośnej w swoim czasie manifestacyi Kilińskiego, ale właśnie tacy, którzy w niej nie mieli udziału.

„Prosto z cytadeli powóz generała Onoprienki zajechał przed Zamek. P. pomocnik opowiedział najdokładniej księciu Imeretyńskiemu, co zastał w cytadeli, i przedłożył odpowiednie papiery swemu naczelnikowi. Kiedy się w nich rozpatrzył generał-gubernator, natychmiast dał rozkaz uwolnienia wszystkich bez wyjątku więźniów, których mu wskazał jego pomocnik. Rozkaz wykonano bezzwłocznie i dziś spotykamy na ulicach ludzi — niewidzianych od lat sześciu......, takich, o jakich się myślało, że pomarli, że się chyłkiem daleko za granicę wynieśli, — tak o nich ślad zaginął zupełnie od lat.

Naturalnie, niema w tem ani słowa prawdy. Z kilkudziesięciu więźniów, znajdujących się niedawno w cytadeli, istotnie wypuszczono 15, ale nie na wolność, tylko wywieziono ich w głąb Rosyi lub na Sybir. Byli to studenci i chłopi z lubelskiego, aresztowani w końcu r. 1895 w t. zw. sprawie puławskiej. Aresztowanych »na ulicach w głośnej w swoim czasie manifestacyi Kilińskiego« nie wypuszczono chociażby dlatego, że takich nie było wcale. Mamy szczegółowe wykazy z lat ubiegłych więźniów siedzących w cytadeli i korespondent nie wymieni ani jednego nazwiska owych rzekomo wypuszczonych. Cała ta historya o wizycie p. Onoprienki jest zmyśloną i zmyśloną bezczelnie.

Ale koniec tej legendy jest jeszcze ciekawszy:

W godzin parę po błogosławionym rozkazie uwolnienia więźniów — zjawił się na Zamku pan prokurator Turau. Przed księciem Imeretyńskim stanął z pokornem zapytaniem:

— Czy z wiedzą Waszej Ekscelencyi wypuszczono tylu ludzi z cytadeli?

Podobno uniósł się bardzo generał-gubernator przy tej sposobności i bardzo ostro rozmówił się z panem prokuratorem. To zaś wiem napewno, iż w gniewie zawołał głośno (słyszano to aż w przyległych pokojach), że dawniej było w Warszawie aż pięciu gubernatorów naraz, dzisiaj natomiast książe sam jest jednym i jedynym gubernatorem i on sam będzie rządził krajem. Ponieważ wreszcie uznaje, iż p. Turau nadawałby się lepiej do tajnej policyi, przeto przeniesie go do tego wydziału, — ale nie w Warszawie".

Poprostu, nie można przypuścić, żeby człowiek, mieszkający w Warszawie, mógł w prawdziwość tego faktu uwierzyć. Sądzić by należało raczej, że korespondent drwi sobie z redakcyi *Słowa polskiego* i istotnie ma prawo drwić z publicystów, którzy takie niedorzeczności drukują. Czyż ci panowie do tego stopnia nie znają stosunków w Królestwie, że mogą uwierzyć w możność przeniesienia prokuratora izby sądowej do wydziału tajnej policyi? Powinni przecie wiedzieć, że prokurator nie jest wcale podwładnym jenerał-gubernatora, chociażby z opisów sprawy krożańskiej w broszurach i książkach, wydanych w Galicyi. Bez zezwolenia prokuratora nietylko pomocnik jenerał-gu-

bernatora, ale nawet sam jenerał-gubernator nie mógłby uwolnić więźnia z cytadeli. Można zrozumieć taktykę ugodowców, usiłujących za pomocą naciągania i dowolnego tłómaczenia faktów nadać pewien ton, dla nich pożądany, opini publicznej. Ale jaki cel może mieć fabrykowanie takich plotek i błazeńskich panegiryków dla dygnitarzy rosyjskich — zrozumieć trudno.

Byłoby pożądanem, żeby inne pisma poinformowały czytający ogół o wartości tych korespondencyi. Nie chodzi tu o prenumeratorów *Słowa polskiego*, których naiwność i pobłażliwość jest widocznie niewzruszoną, ale o pisma prowincyonalne i ludowe, poznańskie i śląskie, przedrukowujące w najlepszej wierze te szkodliwe łgarstwa. Nawet zasadniczo przeciwny wszelkim praktykom ugodowym *Goniec wielkopolski* nawet rozważny i ostrożny *Orędownik* powtórzyły tę bajkę swoim czytelnikom.

= Włościanin Wacyra, który z powiatu tarnobrzeskiego przesiedlił się na Ruś (w okolice Sambora) bardzo trafnie i rozumnie charakteryzuje w *Przyjacielu ludu* zachowanie się radykałów ruskich:

W całym tym ruchu ruskim są wady o wiele większe i trudniejsze do pokonania, niż u nas. Wszystkie prawie zgromadzenia są prowadzone w sposób czysto agitacyjny. Mówcy podnoszą krzywdy same, a zbyt mało dają wskazówek, co czynić należy, jak się organizować, aby osiągnąć cel, do którego się zdąża. Po takiem zgromadzeniu, gdzie się opowiada o krzywdach ludu, a nie mówi się, co trzeba robić, aby te krzywdy usunąć, lud tutejszy wychodzi rozjątrzony i z myślą, że przeciwników swych trzeba walić pięścią albo i bukiem, bo innego sposobu nie ma".

O stosunku radykałów ruskich do Polaków p. Wacyra tak mówi:

„Tutejsze prowodyry w swym stosunku do ludu polskiego i ruchu ludowego również okazują brak zastanowienia i rozumu politycznego. Nierzadko wymknie się im gorzkie a niesprawiedliwe słowo przeciw Polakom, a każdy, naród swój miłujący człowiek, przez to odrazu zrazi się do tego stopnia, że albo wcale nie pójdzie głosować, albo na Rusina głosować nie będzie w każdym razie.

„Byłem świadkiem, jak nie chciano pozwolić mówić po polsku, jak wyrażano się o restauracyi Wawelu w sposób niegrzeczny. Słuchając takich rozmów, głoszeń i mów na zgromadzeniach, Polak włościanin do ruskiej organizacyi nie przystąpi. I znaleźli się tacy, co dobrze tę niemądrą ich politykę wyzyskali, aby lud miażdżyć, poniewierać i do więzień pakować".

Agitatorzy ruscy stawiali Mazurów za wzór i chwalili ich, że »pięścią posłów wybierają«. Odrzuca tę rzekomą pochwałę p. Wacyra:

„Jest to fałsz, bo lud w zachodniej Galicyi prawną drogą zdobywał mandaty, a przy samych wyborach zachowywał się spokojnie i z cierpliwością, a gdzie chłopi przegrali, tam odchodzili do domów z raną w sercu, ale z przekonaniem, że to już ostatni raz, że na przyszłość lepiej będą pracować, aby przeciwników pokonać. Przy takiem postępowaniu żandarmi, chcąc nie chcąc, muszą nam dać spokój, bo widzą, że idziemy drogą spokojną".

Radykałom ruskim chłop polski taką daje radę:

„Hukiem, wrzaskiem i krzykiem ani trafimy do serc słuchaczy, ani pokonamy przeciwnika. Jeżeli chcecie dopiąć celu, to nie dzielcie się na Mazurów i Rusinów, ale bądźcie jednym ludem, nie obrażajcie uczuć ani pamiątek narodowych polskich, ani ruskich. Trudno wam stworzyć osobną prowincyę, to sie wam w austryackiem państwie nie uda, ale idźcie razem z polskimi włościanami, a będzie dobrze i Polakom, i Rusinom".

Nie można przeczyć, że podczas wyborów działy się na Rusi nadużycia, »uwłaczające nie tylko włościaństwu, ale człowieczeństwu«, ale dlaczego tak postępował komisarz wyborczy?

„Bo widział, z kim ma do czynienia: lud to zbałamucony, każdy nim kręci, jak szewc butem; jest on nieufny i podejrzliwy, bo ciemny".

Niejednokrotnie wyrażaliśmy zdanie, że polskie stronnictwo ludowe nie powinno wyrzekać się działalności politycznej na Rusi. To samo twierdzi p. Wacyra:

„Polskie stronnictwo ludowe powinno na Rusi zająć się Polakami i samych Polaków narazie zorganizować. Polaków jest na Rusi znaczna liczba, a zorganizowani mogą stanowić stronę, jeżeli nie większą, to w każdym razie między ruską a dworską partyą, decydującą. Trzeba tego, chociażby w jednym powiecie spróbować. Spodziewam się, że bracia z zachodniej Galicji nie odmówią w tej sprawie czynnej pomocy, że stronnictwo ludowe dołoży starań, by przecież Polacy we wschodniej Galicji stanęli tak, jak ich bracia na zachodzie. Jeżeli Polakom, rozrzuconym po Rusi, dziś jeszcze nie brak narodowego poczucia, to wnet to nastąpić może. Mówią oni i śpiewają po rusku i powoli się wynaradawiają. Trzeba zatem koniecznie obmyślić dla nich jakiś punkt oparcia. Są całe wioski, jak ich nazywają Mazurów, którzy zapomnieli zupełnie po polsku, albo kaleczą naszą mowę tak, że aż brzydko słyszeć. To, co tu napisałem, nie powinno zrażać ani Polaka, ani Rusina, bo każdy powinien szanować swoją narodowość, aby w drugiej nie utonęła. Toteż my, Polacy, osiadłszy tu w Stupnicy pod Samborem, także chcemy zachować niepokalaną polskość i przekazać ją w pokolenia, a że widzimy, jak Polacy, dawniej tu osiedleni, pozbyli się zupełnie zwyczajów ojczystych a przyjęli ruskie, więc radzibyśmy odtworzyć w nich te uczucia i te drogie zwyczaje polskie, jakich nas nauczono i kazano nam szanować".

Doprawdy, niejeden z naszych radykalnych i nie radykalnych »inteligentów« mógłby się uczyć od tego chłopa patryotyzmu i rozumu politycznego.

= W poprzednim numerze naszego pisma podaliśmy obszerne wyjątki z artykułu Liebknechta o kwestyi wschodniej, które przedrukował następnie *Kurjer lwowski*. Obecnie do redakcyi tego dziennika włościanin Wiącek, z powiatu tarnobrzeskiego, nadesłał następujący list:

„Czytając „Kuryera" z 12 maja br, artykuł pt. „Liebknecht o Polsce", uderzyła nas wielka boleść i żal niepojęty, żeśmy w takiem strasznem położeniu i wstyd nam, że Niemiec czuje krzywdę naszą i mówi o niepodległości Polski, a tylu naszych Polaków nie myśli o niej... Z wdzięcznośei chcemy mu podziękować najserdeczniej i dlatego prosimy podać nam adres p. Liebknechta. Cześć mu za to jego wystąpienie!"

Do listu Więcka *Kuryer lwowski* dodaje komentarz:

„Nadmienić wypada, że ten sam włościanin Wiącek był inicyatorem bitwy Racławickiej, jaką w setną rocznicę owej pamiętnej chwili urządzili włościanie na błoniach nad Wisłą, a której przypatrywali się z lewegu brzegu rosyjscy wojskowi. Włościan, przedstawiających Moskali, poturbowano w owej bitwie tak dotkliwie, że odtąd nikt nie chce „być Moskalem" i zabawa nie może przyjść do skutku".

= Z powodu projektu zmiany ustawy o stowarzyszeniach prof. Dlbrück wyśmiewa w *Preussische Jahrbücher* próby powtrzymania rozwoju politycznego ludu za pomocą drobiazgowych szykan policyjnych, a następnie mówi o sprawie polskiej.

„I tę, mówi, chcianoby rozwiązać za pomocą takiej metody. Ale niedość konsekwentnie ją na wschodzie przeprowadzają. Dowiodły tego wybory uzupełniające w Świeciu. Wybrano tam Polaka większością tysiąca głosów. Czem się to dzieje? Otóż Świecie leży niestety w Prusach Zachodnich, a pan v. d. Recke zmienił tylko *barwy* poznańskie, nie zaś Prus Zachodnich.

„Gdyby z tą samą energią, postępowano w Prusach Zachodnich, nie byliby zapewne Niemcy stracili świeckiego okręgu. Obecnie słychać newet, że i protestanccy Polacy na Mazurach zaczynają się organizować pod względem narodowym.

Zalecałoby się przeto, nim będzie zapóźno, zmienić i barwy Prus Wschodnich. Najprostszem byłoby może, ażeby zużyć korzystnie wielkie zapasy płótna, zamienić barwy.

„Poznańskie otrzymało czarno-białe, dajcie teraz Prusom Wschodnim dawne barwy poznańskie, biało-czerwone. Tem chyba Mazurów poskromicie!"

= *Prawitielstwicnnyj Wiestnik* zamieścił sprawozdanie z postępów oświaty rosyjsko-prawosławnej w »kraju chełmskim« (?). Ze sprawozdania dowiadujemy się, że:

„W kraju chełmskim prawosławie oddawna musi stawić czoło silnemu naciskowi katolicyzmu, który zdążył tu poczynić wielkie zdobycze, wielu oderwać od prawosławia i wiele wynaturzyć w prawosławno-rosyjskim ustroju życia. W wielu parafiach dawniej unickich, teraz z prawosławiem na nowo po-

łączonych, znajduje się jeszcze nie mało opornych, t. j. uparcie nie łączących się z prawosławiem i nawet nie ochrzczonych (?). Na 389.000 mieszkańców prawosławnych jest tu 2,142.000 osób wyznań obcych, a w tej liczbie samych katolików 1,677.000 Przed 10—20 laty nie było tu nawet mowy o szkole cerkiewno-parafialnej, o samodzielnym, żywym i bezpośrednim wpływie duchowieństwa prawosławnego na wychowanie i kształcenie młodzieży w szkołach.

Trudno odgadnąć, jaką część Królestwa nazywa sprawozdanie »krajem chełmskim«. Sądząc z cyfr ludności wyżej przytoczonych, do kraju chełmskiego sprawozdanie włącza całą gubernię lubelską i siedlecką, oraz powiat mazowiecki gubernii łomżyńskiej i augustowski suwalskiej, w których, w małej zresztą liczbie, mieszkają b. unici.

Czytamy dalej w sprawozdaniu, że sieć szkół rosyjsko-prawosławnych stale się rozszerza. W roku szkolnym 1895/96 było w prawosławnej dyecezyi chełmsko-warszawskiej 69 szkół cerkiewnych, z początkiem roku bieżącego przybyło 24 nowych. We wszystkich szkołach uczyło się 2.799 dzieci, w tej liczbie 360 »obcych wyznań«, tj. katolików.

Ten ostatni fakt zasługuje na uwagę, bo szkoły cerkiewne mają za zadanie nietylko wzmocnienie, ale i propagandę prawosławia, co otwarcie przyznaje sprawozdanie, mówiąc, że są »ważnym czynnikiem rozpowszechniania wiary prawosławnej«.

Z OBCEGO ŚWIATA.

NASTĘPSTWA WOJNY GRECKO-TURECKIEJ.

Zaznaczyliśmy już poprzednio, że jakkolwiek wojna Grecyi z Turcyą nie wywoła prawdopodobnie żadnego zatargu, wpłynie jednak na zmianę układu stosunków międzynarodowych. Dziś zostało już stwierdzonem, że rząd niemiecki zachęcał Turcyę do wojny. Niektóre dzienniki dowodzą, że uczynił to w zamiarze oddalenia Rosyi od Francyi, jakoż istotnie między temi dwoma mocarstwami nastąpiło oziębienie stosunków. Organ Bismarka zapewnia, że stary kanclerz, znając podejrzliwość francuską umyślnie w tym celu opublikował umowę między Rosyą i Niemcami i że od tej chwili przyjaźń między Paryżem i Petersburgiem została zachwianą.

Wątpić można, czy rząd niemiecki miał istotnie na celu odalenie Francyi od Rosyi, które musi pierwszą zbliżyć do Anglii. Przeciwieństwo interesów angielskich i niemieckich uwidocznia się coraz bardziej. Wobec możliwego zatargu z powodu spraw południowo-afrykańskich Niemcom zależy raczej na tem, żeby Francya postępowała zgodnie z Rosyą, stanowczą przeciwniczką Anglii.

Wskrzeszenie związku trzech cesarzy może nastąpić w bliskiej przyszłości, ale rozszerzenie go i przekształcenie w koalicyę mocarstw lądowych przeciw Anglii jest i pozostanie, zdaje się, pobożnem życzeniem polityków niemieckich. Gdyby ten związek trójcarski doszedł do skutku, mogłaby raczej nastąpić, jako jego przeciwwaga, koalicya Anglii, Francyi i Włoch. W sprawie grecko-tureckiej polityka trzech mocarstw zachodnich była niejednokrotnie w wielu ważnych punktach zgodną.

Następstwem pośredniem zachowania się Rosyi w sprawie wschodniej jest dosyć wyraźny zwrot w Bułgaryi. W Sofii zwołano wielki mityng, na którym byli obecni, oprócz zwolenników polityki Stambułowa, Cankow, Karawełow i inni przywódcy stronnictw bułgarskich. Mówcy wygłaszali mowy przeciw Rosyi, które publiczność oklaskiwała. Rząd z góry wiedział o tem, że będą na mityngu mowy antyrosyjskie, i pomimo to nie tylko nie stawiał żadnych przeszkód, ale, owszem, poniekąd popierał agitacyę.

Po doświadczeniach lat ostatnich nikt nie wierzy w stałość i szczerość przekonań polityków bułgarskich, a tem bardziej nastroju t. zw. opinii publicznej w tym kraju. Ale zawód, jaki spotkał Bułgarów w zamiarach przyłączenia Macedonii, musiał ich niewątpliwie podrażnić. Zawiedzeni w swej chciwości, która zresztą łączy się ze szczerym patryotyzmem, czują się pokrzywdzonymi. Pogodzili się z Rosyą i upokorzyli w nadziei, że dopomoże ona ich planom, a ponieważ to nie nastąpiło, uważają się za oszukanych.

KRONIKA.

— W rocznicę 3 maja ks. Chromecki wygłosił w kościele Pijarów w Krakowie kazanie, w którem wykazywał, że współczesna trójlojalność jest jednym z najstarszych i najgroźniejszych grzechów politycznych. Ci spadkobiercy Targowi y nie mają ducha bożego, a więc i prawdziwej miłości ojczyzny. Kazanie wywarło wielkie wrażenie na licznie zgromadzoną w kościele publiczność.

— Ks. Pałkowskiemu ze Środy wytoczyła władza pruska sprawę za to, że pozwolił odśpiewać w kościele „Z dymem pożarów". Wyrok w tej sprawie odroczono, ponieważ tłómacz sądowy wyznał, że nie rozumie dobrze treści hymnu.

— Figura, postawiona w Żurawnie na kamiątkę zwycięstwa Jana III, należy obecnie do Żydów, którzy podczas obchodu uroczystego rocznicy, nikomu nie pozwolili przechodzić przez swoje grunta i niedopuścili ludzi do pomnika.

— *Orędownik* zaznacza, że w ostatnich latach coraz więcej młodych lekarzy Polaków osiada na Śląsku.

— W Sopotach (Zoppot) wychodzić będzie podczas sezonu trzy razy na tydzień *Gazeta copocka kąpielowa,* ma się rozumieć po polsku i dla gości Polaków.

— Na drodze warszawsko wiedeńskiej wykryto deficyt, a raczej kradzież, wynoszącą podobno kilkaset tysięcy rubli. Sprawcami są, ma się rozumieć, urzędnicy Moskale, o których gospodarce przed pół rokiem pisaliśmy obszernie.

— Drugie wydanie broszury W Skarzyńskiego „Nasza sprawa", w części dopiero wydrukowane, skonfiskowała policya poznańska.

— Ciekawy fakt, charakteryzujący stosunki szkolne w zaborze pruskim, podaje *Dzienik poznański.* P.p. Michalscy mają troje dzieci, z których dwaj chłopcy uczą się w szkole religii po polsku, rodzona zaś ich siostra zapisana została z dodatkiem *katholisch deutsch* i musi uczyć się religii po niemiecku, ponieważ poprzednio chodziła do szkółki, gdzie był tylko wykład niemiecki.

— W Kielcach p. E. Różycki, urzędnik Towarzystwa kred. ziemskiego, skazany został administracyjnie na trzydniowy areszt za obrazę oficerów miejscowego pułku piechoty, wyrządzoną im w r. z. Obraza polegała na tem, że p. Różycki, jako gospodarz majówki cyklistów kieleckich, kazał zaprzestać grać orkiestrze i przerwał tańce, gdy na polankę, służącą za miejsce zabawy, weszło kilku nietrzeźwych oficerów w towarzystwie kobiety lekkiego prowadzenia.

— Znany dziennikarz i literat, ksiądz Zygmunt Chełmicki, piastujący w Warszawie godność wiceprezesa osławionego Towarzystwa przeciwżebraczego, instytucyi polsko-rosyjskiej, zwrócił obecnie uwagę na swą osobę przemówieniem do ks. Imeretyńskiego w języku rosyjskim, podczas przedstawienia się zarządu towarzystwa generał-gubernatorowi. Oburzenie jest tem większe, iż, jako ksiądz, mniej był do tego obowiązany od kogokolwiek, zwłaszcza że po rosyjsku nie umie i ogromnie kaleczył język swą mową, wyuczoną na pamięć.

TREŚĆ: „Nowy kurs" w zaborze rosyjskim. — „Nasza sprawa", I, nap. Victor. — Z całej Polski, nap. J. L. Jastrzębiec. — Z zaboru rosyjskiego: Warszawa, nap. *.*; Pińczów, nap. S. S.; Dąbrowa, nap. (O-ż); Łomża, nap. W. S.; Smutny obłęd; Język rosyjski na kolejach. — Z zaboru pruskiego: Mowa posła Czarlińskiego; Polskie stronnictwo czynu; Liga antygermańska; Sprawa o błogosławieństwo; Pomnik w Kościanie. — Z Galicyi: Metamorfozy ks. Stojałowskiego; Protesty wyborcze; Lwowskie towarzystwo oświaty ludowej; Szkoły dla dorosłych analfabetów; Przyczynek do sprawy ruskiej. — Z Kresów: Cieszyn; Okrucieństwo niemieckie; Pruska sprawiedliwość wobec dzieci; Jeden z niewielu. — Z wychodztwa i kolonii: Robotnicy z Królestwa w Niemczech. — Przegląd prasy. — Z obcego świata: Następstwa wojny grecko-tureckiej. — Kronika.

Z drukarni W. A. Szyikowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor dr. Ernest Adam